POLAK

W BRAZYLJI

Pismo tygodniowe -- dla wszystkich--

3 Grudnia 1909 r. REDAKTOR I WYDAWCA *KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.* *Rok V Nr 49*

POLAK W BRAZYLJI

kosztuje:

Rocznie.	8 milr.
Półroczni	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrji	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs.

Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub ego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI"

Caixa postal Nr. 122

CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATĘ „POLAKA W BRAZYLJI" przyjmują na warunkach redakcyjnych p. p.

Bolesław Kłossowski — Ponta Grossa.
Antoni Jakubowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.
Michał Sekuła — Araucaria.
Bronisław Wachowski — Argentyna.
August Jan Kwieciński — Candido de Abreu

Redakcja mieści się przy placu TIRADENTES Nr. 31
TELEFON N. 167

Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

„POLAKA W BRAZYLJI"

NA ROK 1910

Wszyscy prenumeratorzy „Polaka w Brazylji", którzy opłacą przed 1 Lutym 1910 roku całoroczną prenumeratę, otrzymają jako

Bezpłatne premjum

książkę p. t. „PAŃSTWO INTERESU" (w oprawie) napisaną przez znanego bogacza i filantropa ameryakńskiego Carnegiego. Książka ta zawiera mnóstwo cennych uwag i przykładów, w jaki sposób dojść można do majątku i poważania u ludzi, daje mnóstwo cennych rad, jak się urządzić i zachowywać w życiu.

Wszyscy prenumeratorzy „Polaka w Brazylji", którzy opłacą całoroczną prenumeratę przed 1 Lutym 1910 roku prócz powyższego bezpłatnego premjum, będą uczestniczyć w

Loterji

„POLAKA W BRAZYLJI"

Do rozegrania posiadamy dziesięć następujących przedmiotów:

1) Praktyczną i użyteczną w naszych gospodarstwach maszynę do tępienia mrówek z zapasem trującego proszku dla wytępienia conajmniej 20 mrowisk, choćby największych.

2) Doskonałą maszynę do szycia najnowszego systemu Singera.

3) Maszynę do łuszczenia kukurydzy z wialnią

4) Kolorowy portret Kościuszki dużego formatu, 5) Portret Mickiewicza, 6) Portret Słowackiego, 7) Obraz: Bitwa pod Racławicami (Kościuszko prowadzi do ataku) 8) Obraz: Bitwa pod Racławicami (Bartosz Głowacki zdobywa baterję rosyjską), 9) Obraz: Zdobycie Wolmaru 10) Kolorowy herb Polski na kartonie.

Loterja powyższa rozegraną będzie w lokalu redakcji „Polaka" przy udziale wszystkich życzących sobie być obecnymi przy tym prenumeratorów „Polaka" dnia 1 Lutego 1910 roku.

Uczestniczyć w loterji mogą tylko ci prenumeratorzy, którzy zapłacą osobiście, lub przyszlą prenumeratę, lub złożą ją u naszych ajentów zawczasu, tak, żeby wiadomość o tym nadejść mogła przed 1 Lutym. Wszyscy prenumeratorzy opłacający prenumeratę później, lub których prenumerata nadejdzie po 1 Lutym do Kurytyby, nie mają prawa uczestniczyć w loterji.

Każdy prenumerator, który już opłacił prenumeratę za rok 1910 lub opłaci ją przed 1 Lutego 1910 r., otrzyma numer porządkowy przy swoim nazwisku w dziale „Od administracji", numery te będą służyły dla rozegrania loterji, Przy ciągnieniu loterji numery wygrywają w porządku, w jakim są wydrukowane przedmioty powyżej.

Prenumeratorzy „Polaka w Brazylji", opłacając z góry całoroczną prenumeratę, otrzymują więc nietyko ciekawą książkę „Państwo interesu", ale i możność wygrania jednego z wymienionych wyżej przedmiotów, które zostaną natychmiast wysłane na koszt redakcji wygrywającym, nazwiska i adres których będą w najbliższym numerze ogłoszone.

Kolonizacja stanu S. Paulo.

Ciąg dalszy.

Pierwsze listy i broszury zachęcające do wyjazdu zawędrowały bardzo trafnie do kraju Nadbaltyckiego, odnosząc nadspodziewany skutek. I nic dziwnego. Wycieńczony terrorem rządu moskiewskiego lud chwytał z upragnieniem ponętne wiadomości o kraju wolnym i bogatym. — Wyjeżdżającym kolonistom zapewniono zwrót kosztów podróży od Libawy do Londynu — z Londynu zaś do São Paulo droga była bezpłatną.

Tylko kolonistom to nie było wiadomem, że po przyjeździe do S. Paulo natychmiast trzeba złożyć zadatek, jako pierwszą ratę za ziemię, a na pieniądze obiecane jako zwrot, trzeba nieraz przeczekać rok cały, rzadko mniej jak 6 lub 7 miesięcy.

Korzyści zaofiarowane na kolonjach przedstawiły się następująco:

Lot ziemny na N. Odessie i J. Tibiriça wynosił przeciętnie 1.500$000 wypłacalnych w 5 ratach rocznych. Na Nowej Europie, Nowej Paulicei i Gaviar Peixoto przeciętnie tenże lot 10-alkrowy kosztował 3.000$000.

Ostatnio zredukowano cenę na Nov. Europie do 1.500$000 oraz zaprowadzono na wszystkich kolonjach termin wypłaty 10-letni. Pozatym kolonista otrzymywał: jedzenie doktora i lekarstwa w przeciągu 15 dni. Pomieszczenie w baraku 1 rok. Pracę jednego członka rodziny na rządowych robotach 3 dni w tygodniu, przez jeden rok płatną od 2$500 do 3$000.

Płacąc z góry 5-tą część wartości, mógł otrzymać konia, krowę, pług, oraz materjał budowlany na dom; ponieważ jednak na praktyce osiągnęcie tych przedmiotów napotyka pewne trudności duża część kolonistów z tej ulgi nie korzysta.

Jeśli lot udzielony pokryty jest lasem, kolonista może go wyrąbywać proporcjonalnie do wypłaconych rat.

Łatwo zrozumieć, że w tych warun-

Maciek w powstaniu.

Opowieść na tle powstania w r. 1863

PRZEZ

SEWERA (GRYFFA).

C. d.

Moskal widocznie usłuchał rad Maćka. Cicho było, nikt go nie gonił. Dopiero gdy dotarł do pierwszych chat Szydłówka, trąbki zagrały na alarm.

— Grajcie do sądnego dnia i co mi zrobicie — wołał upojony radością i tryumfem.

Ominął karczmę z obawy przed szpiegostwem żyda, zszedł z drogi, rzucając się w stronę szarzejących lasów.

Gdy go skryły pierwsze krzaki, zwolnił kroku. odetchnął całą piersią i zaśmiał się głośno Był to śmiech szału, zwycięstwa.

— Gońcież mnie teraz całe wojsko z Szydłowca z koźniami, ile was ino jest...

Podniósł karabin w górę i zatrząsł nim.

— Żeby tu Kaśka była, dziwowała by się też dziwowała, rety, rety! Ale żeby, kiejdem się z Moskalem tarmosił, przylecieli drudzy!...

Ciarki go przeszły i krew buchnęła do głowy.

— Kaśka, nie widziałabyś już więcej swego chłopa i możeby go ludzkie oko więcej nie ujrzało... Ale kiej się udało, po co se przypominać.. Las przyjmie, otuli i do swoich zaprowadzi. Chłopstwo bedzie się śmiać, Bartek będzie zły, a starszyzna będzie się cieszyć

Stanął na wysokości i z kraja sosnowego lasu odwrócił się. Przed nim w różowej jutrzence kąpała się wesoło wierza Szydłowieckiego kościoła, murowane kamienice tuliły się do niej. Wielki gościniec przecinał miasto, leciał daleko na zachód i ginął. Małe domki Szydłówka okryte śniegiem drzemały.

— Tam, tam szeptał Macik — w tym klinie ciemnego lasu odebrałem Moskalowi karabin, przeleciałem taki sztuk drogi i jestem tu.

Duma rozpierała mu serce, wargi mu drżały. Na drodze do Szydłówka ukazał się pluton kozaków. Pędzili kłusem, przez wieś pognali galopem, zatrzymując się przed karczmą.

Maciek się zaśmiał.

— Lećcie, gońcie, szukajcie, żyda spierzcie, albo go powieście, wydziwiajcie co chcecie i cóż zrobicie?... Gdyby ino kula doleciała, tobym do was chlusnał.

Zmierzył karabinem i długo celował.

— Za daleko, ale żeby ino kula doleciała, sprzątnąłbym tego draba na przodzie, bo pewnikiem on to mnie wczoraj zdzielił batem.

Kozacy polecieli dalej drogą. Maciek pomknął nieco w las, szukając szerokiego pnia po ściętym drzewie, gdy go znalazł, usiadł, czapkę zdjął, przeżegnał się i naprzód zajrzał do ładownicy, rachując naboje.

— Sześć po dziesięć bez jednego, bo ten jeden w karabinie. Na początek wystarczy.

Z kobiałki wydobył flaszkę, chleb i kawałek słoniny.

— Maciek do ciebie, sprawiłeś się nie ma co mówić, galanto.

Przechylił flaszkę, zabulgotała, buchnął... Cóż kiedy nie było czym chleba ukrajać a słonina zmarzła na kość.

— Leć do Moskala po kozik! — zawołał i zaśmiał się z konceptu. — Maciek, tyś jucha okrutnie przyścipny!... Żebym ci nie był przyścipny, nie byłoby przy mnie karabina.

Odgarnął nogą z ziemi śnieg, nałamał gałązek sośniny, rozpalił ogień i przy nim prażył słoninę, podstawiając chleb. Kapała obficie, chleb się rozgrzewał i pęczniał.

— I bez kozika dam se radę. Kiej ja ci gołymi rękami zmogłem Moskala i na drugi dzień, jakem przystał do powstania, zdobyłem karabin i sześć dziesiątek naboi, to muszę mieć głowę na karku.

Rozwinął kożuszek, strzepał z niego śnieg, zdjął sukmanę, ubrał się, zapiął, baranicę przechylił na bakier, pochwycił karabin.

— A teraz chodźcie na mnie choćby dziesięciu!... Ten Bartek, ten Bartek, starszyzna, chłopy z Mirca! Co to będzie uciechy, rety! Bele ino ich dogonić, dowiedzieć się, którędy poszli. Nigdzie ino w las, trzeba iść krajem, póki same ślady nie zaprowadzą.

Ładownicę przypasał, sukmanę skręcił jak płaszczyk żołnierski, końce związał sznurkiem, przełożył przez ramię, karabin w rękę.

— Kaśka! żebyś mnie teraz ujrzała, oniemiałabyś! Oniemieje Bartek i chłopi z Mirca.

Poszedł krajem, szukając śladów na śniegu.

— Pięć rubli w zanadrzu — marzył — za nie może być tęgie ciele a z cielęcia krowa! Kaśka lamentowała i bała się. Ha! ha!... A niech lamentuje, to potem więcej będzie dbać.

Co uszedł kilkanaście kroków, patrzał na gościniec i oglądał się, szukając śladów na śniegu.

— Tędy — zawołał, zatrzymując się — tędy przejechały wozy, widzę ślady butów chłopów mirzeckich. Tędy, znalazłem przecie.

Poszedł prosto za śladami. Drzewa i kręta droga zakryły go, zginął w gąszczy; jedna żywa dusza w tamtejszej puszczy, jedno bijące serce w ciszy, jedna myśl w tej sennej martwocie. Maćkowi mimo to było wesoło. Szedł żywo pod górę, zatrzymując się, żeby tylko zdjąć baranicę, otrzeć rękawem kożucha pot z czoła i fajczynę wypalić. Paliło pod podeszwami, niecierpliwość gnała naprzód, nie chciał, aby bez niego poszli na moskala i zostawili jak głupca z karabinem. Tego się bał najwięcej i coraz szybciej, darł, drapiąc się w górę.

Żeby ino za dnia przylecieć — powtarzał — zapadnie noc, stracę ślad i co dalej, gdzie się obrócę, gdzie się podzieje i co ze sobą zrobię!...

Zatrzymał się, oparł o drzewo, przesunął z pleców kobiałkę, wyjął flaszkę, pociągnął i dalej w drogę.

Z bitego gościńca wielkie ślady kół i ludzkich stóp rzucały się na prawo.

— Skręcili — zawołał — teraz to już nie zginę.

Zwrócił się i u podnóża łańcuchem gór lekką spadzistością biegł żywo. Buty moskiewskie dzwoniły mu, uderzając podkówkami.

C. d. n.

kach osiedlić się może tylko ten, kto posiada pewien znaczny fundusz.

Broszura jednak wydana w Londynie pisze, że dostatecznie jest mieć 200 rubli, aby urządzić się w stanie S. Paulo. Pytanie więc, jak kolonista może przeżyć okres czasu do ewentualnych zbiorów, jeśli zapłacił w agencji zadatek 300$000, niezbędny dla otrzymania lotu.
Zarobek 3 dni w tygodniu, płatny 2$500 przy drożyźnie produktów, bynajmniej nie podtrzyma rodziny składającej się przeciętnie z 7, 8 osób. — Koloniści, którzy przywieźli z sobą pewien kapitał—a osiedli na locie urodzajnym — kupili niezbędne narzędzia—mieli możność przyspieszyć dobrobyt kolonji. O tych zaś, którzy ostatnią gotowiznę włożyli w zadatek, nie pomyślał rząd, tak jak zapewnia broszura. Naturalną drogą rzeczy zeszli oni na plan ostatni. Cierpieli nędzę, póki nie znaleźli sposobu ratowania się, albo możności ucieczki. O dorobieniu się z niczego, mowy tu być nie może.

Kolonje wyszczególnione na tabliczce, nie są jednakowe i różnią się zarówno pod względem położenia, jak i administracyjnym.

Początkowo utworzono 2 kolonje, z których prawdziwie wzorowo została urządzona Nowa Odessa—i nic dziwnego bo wydatek na utrzymanie dyrekcji, pola doświadczalnego, stacji zootechnicznej i t. p. wynosił około 40 tysięcy milr. rocznie. Pod względem jednak glebу nie należy ona do pierwszorzędnych. Złożona z 2 sekcji N. Odessa i Fazenda Velha. Część Nova Odessa obejmuje 35 lotów—gdzie poprzednio na szerszą skalę produkowano trzcinę cukrową, która jak wiadomo, silnie wyczerpuje ziemię. Pomimo 3-letniej mozolnej pracy, większości kolonistom z tej części nie udało się wydobyć rezultatów dostatecznych dla zabezpieczenia utrzymania, to też są zniechęceni, pragną się przesiedlić albo nie znalazłszy tu ziemi, wrócić do Rosji.

Inaczej się ma z kolonistami z sekcji Fazenda Velha—gdzie ci ostatni znalazłszy ziemię dziewiczą, zdołali się znakomicie urządzić. — Klimat tej kolonji jest dobry. Cena lotów waha się między 1.250$000 do 1.500$000, co nie jest zupełnie zależnem od dobroci ziemi, jedynie obszaru. Druga kolonja T. Tibriço powstała równocześnie z N. Odessą w roku 1905, lecz pod względem urządzenia w niczym jej nie dorównuje. Niema tu stacji doświadczalnej — ani dobrych dróg kołowych. Mało to jednak obchodzi kolonistów, którzy przedewszystkim szukają ziemi żyznej i miejsca zdrowego. Tym dwu warunkom T. Tibiriça odpowiada, gdyż klimat jest bardzo zdrowy, a ziemia w większej części urodzajna. Wszystkie dobre loty zajęte. Wobec blizkości rynkuzbytu, koloniści mają się nieźle. — Pozostałe cząstki są toalbo tereny bagniste, albo o glebie kamienistej i nie nadającej się dla uprawy.

Jak więc widzimy, pomimo swej dziwnej taktyki, rząd stanu São Paulo, przy udziale silnej agitacji zdołał z niezłym względnie rezultatem zaludnić żyżne loty tych małych kolonijek. Wyobraził więc sobie, że interes pójdzie i... omylił się, bo choć koloniści przybywali w paczkach po 5 lub 6 rodzin, to jednak łatwo było przewidzieć, że wkrótce nastanie chwila, kiedy lotów zabraknie.—W każdym razie wszystko było na dobrej drodze i zreformowawszy sam system kolonizacji i przygotowawszy kolonje wielkie, odpowiednie dla przygotowującego się napływu, São Paulo pod tym względem mogłoby zająć stanowisko przodujące. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie, bo oto z nadzieją złotych rezultatów, zakupiono obszar najniewłaściwszy dla kolonizacji bo choć w ziemi dobrej, lecz w pobliżu rzek Jacaré i Itaqueri, gdzie stale grasują febry, zdala od wszelkich rynków zbytu, gdzie ceny na produkta spożywcze są nader wygórowane — a sprzedaż własnych zależna od wendystów. Na tych kolonjach nadto ustawiono na lot ziemny 3:000$000, lot całkowicie pokryty obfitym dziewiczym lasem bezwartościowym, bo bez możności spieniężenia.

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach, podjęta praca rządu zaczęła się psuć. Koloniści coraz to napływali, ale i coraz więcej opuszczali São Paulo, zniechęceni stanem tej kolonji. — Najgorzej rzecz się miała z chorobami. Opary leśne, brak dobrej wody i czystego powietrza powoduje szybkie zasłabnięcia. Ci, którzy pozostali bez żadnego funduszu, znajdują się nieraz w pożałowania godnym położeniu. Jedynym ich warunkiem jest dostanie się do S. Paulo, gdzie szukają zarobków.

W o wiele jeszcze smutniejszych warunkachznajduje się N. Paulicea Gavião Peixoto. Pierwsza posiada nadto ziemie liche. W G. Piechoto, która leży tuż nad brzegiem rzeki Jacare — nieuniknionym jest nabawienie się febry.

Przewidzieć przyszłości tych kolonji niepodobna, w każdym razie zaludnienie ich w chwili obecnej ludźmi z zachodnio północnej Europy jest niemal barbarzyństwem. Nie podniesie ono sławy stanu São Paulo ale przeciwnie zrobi mu najgorszą reklamę.

Podczas mojego pobytu na kolonji N. Europ. w miesiącu listopadzie roku ubiegłego, zastałem tam obraz nędzy. Większość kolonistów chorowała. Niemal wszystkie kobiety przybyłe w tym czasie zapadały na tyfus.

Baraki sklecone z pali dla pomieszczenia kolonistów były cuchnące i brudne i rozpowszechniały choroby. Opieki prawie żadnej. Administracja redukowała się do zera. Przeglądając w tymże czasie książkę zgonów — zanotowałem iż śmiertelność w 2 ostatnich miesiącach była nieproporcjonalnie wielką. Zmarło 36 osób na siedemdziesiąt i parę rodzin.

D. n.

29 LISTOPADA.

Rocznica powstania listopadowego w roku 1831, zwraca myśl naszą do czasów gdy cały naród polski, wszystko co miał najdroższego złożył w ofierze na ołtarzu ojczyzny i krew przelewał chcąc wyrwać ją ze szpon wrogów.

Nie pomogły bohaterskie wysiłki, poświęcenia i walki, kraj nasz pozostał i nadal w mocy najeźdźcy.

Gdy uprzytomnimy sobie ile krwi przelano, ile mogił wyrosło, ilu najdzielniejszych ludzi wówczas zginęło, smutek opanowuje duszę, ale i duma w sercu się rodzi, bo powstanie listopadowe, pomimo że nie dało nam wolności, pomimo że zawiodło nadzieje, dało nam bohaterów, których pamięć świętą zostanie dopóki naród nasz istnieć będzie. Pamięć o bohaterach tych dodaje siły i hartu narodowi naszemu, krzepi słabych, wątpiącym otuchy dodaje. Powstanie nie poszło więc na marne, krew nie naprożno była przez naszych ojców przelana. Ojczyzna dla nas, tylko droższą się stała, jeszcze więcej pragnąć zaczęliśmy dla niej wolności, jeszcze więcej poczęliśmy nienawidzić ciemięzców. Pamięć o poświęceniach i męczeństwach naszych bohaterów powstańczych, dawała i daje nam siły do walk i skutecznego oporu

Rocznice naszych powstań powinniśmy więc obchodzić uroczyście, jako drogie dla nas pamiątki, szczególnie tu na obczyźnie, zdala od naszej starej Ojczyzny, naszych ognisk umysłowych i kulturalnych, w obcym otoczeniu. Obchody takie powinny nam przypominać że do wielkiego należymy narodu że drogim dla nas być musi nasz język, nasza Ojczyzna, za którą przodkowie nasi umierali na szubienicach, od kul i w kopalniach zimnej Syberji, że wyrzekanie się lekkomyślne ojczystej mowy, przyleganie do obcych narodowości, jest to hańbieniem pamięci naszych bohaterów, urąganiem krwi przelanej przez ojców.

Rocznice powstań powinny nam przywodzić na pamięć naszą starą Ojczyznę w niewoli i nasze obowiązki; gdy nie możemy z bronią w ręku walczyć za nią jak to czynili nasi ojcowie, powinniśmy przynajmniej pielęgnować mowę ojczystą, nie zaniedbywać oświaty i nauki, ażeby zawsze, chociaż zdala i wśród obcych być godnymi synami tych, którzy życie swoje poświęcili dla niej w ofierze.

Z całej Polski.

Zachowywanie się Niemców na ziemiach polskich znane jest całemu ogółowi naszemu; wszyscy wiemy, że przybysze ci czują się u nas lepiej i wygodniej, aniżeli u siebie w domu i gdzie tylko i jak tylko mogą manifestują swoją odrębność narodową. Dotychczas jednak występowali w Poznańskiem, gdzie się czują nie już jako przybysze, lecz gospodarze, i w Królestwie Polskiem, — obecnie zaś zaczynają się już ruszać w cichej Galicji, i tak jak wszędzie, domagać tych samych praw, jakie przysługują rdzennym obywatelom kraju.

Dążenia te wypowiedziała w imieniu Niemców galicyjskich delegacja niemiecka, która, pod przewodnictwem niejakiego Juljusza Pernhofera, udała się do namiestnika Bobrzyńskiego i w złożonym memorjale żądała, aby dla 200 wsi niemieckich i 150-tysiącznej ludności niemieckiej zakładano w Galicji specjalne szkoły, a jednocześnie, aby przy przekształcaniu prawa wyborczego uwzględniono Niemców, t. j. iżby otworzono niemiecki kataster narodowy.

Odpowiedź namiestnika, w której pod koniec przyrzekł deputacji utworzenie niemiecko-polskiego seminarjum nauczycielskiego w Galicji [!) nie zadowoliła jeszcze Niemców i następnie ta sama deputacja udała się ze swemi żądaniami do marszałka krajowego hr. Badeniego.

Tu, oczywiście, spotkała ich stanowcza odmowa. Marszałek wypowiedział się osobiście przeciw żądaniom Niemców i zaznaczył, iż nie może się za niemi wstawiać, gdyż mniejszości słowiańskie w krajach niemieckich nie mają dotąd również swych przedstawicieli w sejmach tych krajów, np. Polacy i Czesi mieszkający w Wiedniu.

Załatwienie życzeń niemieckich widzi hr. Badeni w przyłączeniu się Niemców do innej narodowości w Galicji, a to dlatego, że mała ilość posłów w sejmie nie odegrałaby żadnej roli.

Co zaś się tyczy rozwoju kulturalnego marszałek nie myśli stawiać im żadnej trudności.

Tyle więc z pierwszych kroków niemieckich. Co dalej zamierzają czynić nie wiadomo, to jednak pewne, że już rozpoczęli działania, ruszyli się i, napewno, w dążeniach swych nie ustaną.

NIEMIEC O POZNAŃCZYKACH. Wyższy urzędnik niemiecki, tajny radzca Koch, który przez 35 lat pracował w Poznańskim, a obecnie po 12-letniej niebytności odwiedził Poznań i okolice, opisuje w jednej z gazet poczynione w stolicy wielkopolskiej wielce interesujące spostrzeżenia.

Przedewszystkim, zwiedzając stare miasto, zobaczył „olbrzymi hotel polski pierwszorzędny“, a w rogu Rynku ujrzał polski „dom towarowy“, w którym „żadne słowo nie przypomina, że się jest na ziemi niemieckiej“; spostrzegł, że dawniejsze miejsca zborne niemców dziś stały się własnością polaków, że wszędzie są firmy polskie, że kupców niemców wcale nie widać. Słowem stwierdza bezprzykładny ekonomiczny postęp polaka poznańczyka na koszt niemców i bezskutecznego oporu ze strony niemieckiej.

Jeszcze gorsze wrażenie odniósł p. Koch z pobytu na wsi i w małym miasteczku okolicznym. „Gospodarz polski, pisze, nie wraca już pijany z miasta do domu; dom jego i stajnia są starsze, aniżeli budowle komisji kolonizacyjnej, ale, czego dawniej nie znano, są lepiej utrzymane. Ma on w ogrodzie drzewa owocowe i kwiaty, w polu bydło oldenburskie i wyborne konie w stajni. Poznaje się wprawdzie, mianowicie w małym mieście, jeszcze niejeden znak starego brudu i starego zacofania, natomiast widoczne jest zacięte odsuwanie się i wyszukane lekceważenie wobec gościa niemieckiego. Jeszcze więcej: wszyscy robotnicy w cegielniach, w jedynym przemyśle w okolicy Poznania, są zorganizowani“.

Porównywując szczegółowo dawne doskonale znane sobie stosunki, z teraźniejszymi, Koch z żalem dochodzi do wniosku, że żywioł polski rozwija się ogromnie na niekorzyść niemieckiego i zwycięstwo niemieckie bynajmniej nie jest zapewnione, jak usiłują wmówić szerokim warstwom ludności hakatyści.

STANY WYJĄTKOWE W KRÓLESTWIE. Wiadomości o stanach wyjątkowych Królestwie Polskim, podane przez prasę, zostały nareszcie potwierdzone urzędownie. Stan ochrony wzmocnionej w gub. Warszawskiej, Lubelskiej i Siedleckiej przedłużony został do dn. 17 października 1910 r. Warszawski gen.-gub. otrzymał prawo wydawania postanowień obowiązujących w celu niedopuszczenia do pogwałcenia spokoju i bezpieczeństwa publicznago, począwszy od dn. 11 października r. b. do dnia 17 paźdz. 1910 r., w gub. Kaliskiej oprócz pow. Sieradzkiego i Łęczyckiego i w gub. Kieleckiej, oprócz pow. Olkuskiego, oraz w gub. Łomżyńskiej, Płockiej, Radomskiej i Suwalskiej (w gub. Piotrkowskiej oraz we wspomnianych powiatach gub. Kaliskiej i Kieleckiej zachowaną została ochrona nadzwyczajna z gen.-gub. Kaznakowym na czele).

ARESZTOWANIA. Gazety warszawskie donoszą, że masowe aresztowania i rewizje zmniejszyły się. Według tych wiadomości, ogółem w ciągu ostatnich dwóch tygodni aresztowano około 800 osób, osadzonych po części w więzieniu na ul. Spokojnej, po części w twierdzach Modlińskiej i Brzeskiej. W ostatnich czasach pewna ilość uwięzionych została uwolnioną.

WIELKĄ sensację sprawiły ogłoszone niedawno przez lwowskie pismo „Rzeczpospolita“ rewelacje Bolesława Rakowskiego, który od r. 1898 był szpiclem i prowokatorem na usługach policji pruskiej. Według tych rewelacji centralne biuro policji dla spraw polskich znajduje się w Poznaniu pod nadzorem dyrektora policji Zachera, który pochodzi z miasteczka Inowrocławia w Poznańskim i włada doskonale językiem polskim, gdyż matka jego była Polką, a ojciec Niemcem. Na podstawie dekretu ministra spraw wewnętrznych Hammersteina, z dnia 10 maja 19C3 roku, biuro policyjne Zachera ma prawo utrzymywać stałych ajentów policyjnych nietylko w Niemczech, lecz we wszystkich ziemiach polskich, a więc w Galicji i w Królestwie; prócz tego w Szwajcarji, w Paryżu, w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki i t. d. W sprawach polskich wszelkie urzędy policyjne w Prusach komunikować muszą wszelkie dane, odnoszące się do spraw polskich, p. Zacherowi. Dla lepszej orjentacji policja poznańska wydaje tygodnik urzędowy p. t. „Gesatüberblickt der poln. Tagesliteratur“, w którym zamieszczane są wyciągi z pism polskich, służące dowodem antypaństwowych dążeń Polaków. Prócz tego policja sporządziła album agitatorów polskich, zawierające 264 fotograji znanych działaczy, w tej liczbie Sienkiewicza, Dmowskiego, Miłkowskiego, Daszyńskiego. Osoby te, po przybyciu do Prus, mają być aresztowane. Rakowski zakomunikował także redakcji „Rzeczpospolitej“ długą listę osób, pełniących obowiązki szpiegowskie na rzecz policji pruskiej, ale lista ta nie została ogłoszoną.

NOWE CERKWIE W CHEŁMSZCZYŹNIE. Sfery duchowne i rządowe starają się w ostatnich czasach usilnie o powiększeni ilości cerkwi prawosławnych w Chełmszczyźnie. Jakoż liczba ich ogromnie wzrasta. Do zatwierdzenia władz gubernialnych przedstawiono kilkanaście projektów nowych cerkwi, mających powstać w r. 1910.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Państwo greckie od kilku miesięcy przechodzi przesilenie wewnętrzne, grożące poważnemi zmianami. Są one tak doniosłe, iż zachodzi nawet pytanie, czy obecna dynastja królewska utrzyma się na tronie.

Zaledwie od kilku dni w Grecji cokolwiek się uspokoiło, telegraf przyniósł znów wieść o buncie wojskowym, jaki wynikł podjęty przez oficera marynarki, Tibaldesa. Oficerowie zażądali gruntownych zmian w armji, wyznaczenia poważnych kredytów na troskliwsze zajęcie się armją i marynarką, powiększenia liczby wojsk i usunięcia członków rodziny królewskiej, którzy zajmując najwyższe stanowiska w wojsku, pobierają nadzwyczaj wysokie wynagrodzenia, tymczasem gdy oficerowie uposażeni byli bardzo marnie.

Żądania te postawiono parlamentowi, który jednak nie przyjął ich. Wtenczas to Tibaldes wespół z niezadowolonymi towarzyszami, zawładnął arsenałem na wyspie Salaminie. Przyszło z tego powodu do walki między marynarką, a artylerją wierną rządowi i arsenał poddał się.

Jakkolwiek bunt został stłumiony i zbuntowane wojska poddały się, wszystko to jednak razem wzięte nie jest dobrą wróżbą dla Grecji. Obecnie już mocarstwa wysłały swoje okręty, aby bronić swoich i greckich interesów. A wiadomo, że przyjaźń taka nigdy na dobre nie wychodzi.

Zabójstwo ks. Ito, jednego z największych patrjotów Japonji, który ojczyźnie swojej oddał ogromne usługi, wprowadzając w życie rozliczne reformy i bystrym umysłem ogarniał przyszłość tego państwa, wywołać może burzę, zakończoną rozlewem krwi i licznymi ofiarami.

Jak to już wiadomo z pierwotnych wiadomości, zabójca ks. Ito przyznał się otwarcie, iż zamach wykonał świadomie, mszcząc się za krzywdy, jakie doznała ojczyzna jego od ks. Ito, który pierwszy zaczął wprowadzać zmiany i reformy w zaniedbanej i ciemnej pod każdym prawie względem Korei. Ks. Ito wiedział, że pod rządami koreańskimi państwo to upaść musi, panuje tam bowiem bezład, ciemnota, brak kultury i t. d. Kiedy więc w roku 1900 Korea przeszła pod protektorjat, to jest zwierzchnictwo Japonji, ks. Ito objął tam władzę, zaprowadzając szereg zmian i ulepszeń. Powstały koleje, przedsiębiorstwa, szkoły i t d. Ale koreańczycy przyjęli to niechętnie — tęsknili do poprzednich rządów, z nienawiścią prawie przyjmując reformy ks. Ito. Zaślepienie koreańczyków było tak wielkie, że skończyło się aż śmiercią reformatora.

Obecnie Korea burzy się i—jak głoszą telegramy—powstaje do walki z Japonją, aby zapłacić za doznane „krzywdy“. W całym państwie daje się zauważyć ruch zbrojny, podsycany nienawiścią do japończyków. Położenie jest o tyla groźne, że koreańczycy nie rachując się z warunkami walki, jakie podejmują względem Japonji, krok taki mogą przypłacić nietylko pozbawieniem się tej reszty swobód, jakie pozostawiła im Japonja, ale licznymi ofiarami jakie poniosą w razie podjęcia powstania zbrojnego.

Sejm bawarski uchwalił zerwanie konwencji, zawartej z Rosją w 1885 roku, co do wypawania przestępców politycznych. Z tego powodu gazeta rosysjska „Now. Wremja“ pisze: „Przywykliśmy do tego, że obecnie w Niem-

czech zdarzają się wypadki, obrażające dla Rosji, ale dzisiejsza manifestacja przewyższa wszystko, czego mogliśmy się spodziewać nawet ze strony rozgorączkowanych szewinistów niemieckich. To napaść dzika, nie godna żadnego parlamentu!"

Kronika zagraniczna

AUSTRO-WĘGRY.

Budapeszt Wielki pożar, który zniszczył jeden z najwspanialszych młynów budapeszteńskich „Hungaria", pozbawił zarobku około 2 tysiące robotników, w większej części polów, którzy wobec zbliżającej się zimy, nie mają nadziei znalezienia jakiegokolwiek zarobku.

NIEMCY.

Katastrofa gazowa w szkole. W jednej ze szkół berlińskich popełniła samobójstwo służąca dyrektora w ten sposób iż otworzyła kurek od gazu i zaczadziała. Samobójsto to pociągnęło dalsze okropne wypadki, gdyż do przepełnionej gazem kuchni weszła z palącą się lampą żona dyrektora, wywołała eksplozję i poniosła śmierć na miejscu. Przy urzędowych oględzinach lokalu nastąpiła ponownie eksplozja, której ofiarami padli inżynier gazcwni, zabity na miejscu i monter ciężko ranny.

HISZPANJA.

Przed zamachem stanu. Donoszą z Madrytu o gotującym się tam zamachu stanu. Wyżsi oficerowie zamierzają obalić rząd, proklamować dyktaturę i ogłosić króla za monarchę absolutnego.

GRECJA.

Wrzenie w armji greckiej. Położenie w Grecji znacznie się pogorszyło. Załogi pancerników, których oficerowie podpisali wezwanie Tipaldosa, a nie brali czynnego udziału w ruchu, odmawiają posłuszeństwa. Oficerowie ci mają być przeniesieni na inne okręty. Wśród oficerów marynarki, jak również w związku wojskowym, panuje wrzenie, wskutek czego flota angielska ma być skoncentrowana w porcie Pireus.

Tipaldosa i towarzyszów jego zaaresztowano o północy na drodze do Kecewii. Wszyscy mieli na sobie ubrania cywilne. Aresztowani oporu nie stawiali, towarzysze jednak Tipaldosa usiłowali zbiedz, ale zatrzymali się, gdy strzelono do nich. Tipaldos oświadcza, że sam chciał się oddać w ręce władz, aby usprawiedliwić postępowanie swoje.

ANGLJA.

Londyn. Do jednej z kopalń w Ks. Walii wdarła się woda. Podówczas w kopalni było zatrudnionych 300 robotników, z których zaledwie 150 wyratowano. Z podziemi wydobyto dotychczas 6 trupów. Los pozostałych górników niewiadomy.

CHINY.

Konstytucja chińska. Donoszą, że cesarz chiński ogłosił rozkaz o utworzeniu „Rady cesarskiej". W rozkazie wyliczono te klasy ludności, które mają prawo wybierania członków Rady. Rada ma być instytucją przygotowawczą do parlamentu, który będzie się składał z dwóch izb.

Do składu Rady cesarskiej wejdą członkowie rodziny cesarskiej, generałowie, przedstawiciele arystokracji, uczeni, członkowie Rad prowincjonalnych, mongolscy i syberyjscy książęta.

JAPONJA.

Wrzenie w Korei. Według nadchodzących wiadomości telegraficznych z Korei, zabójstwo ks. Ito było sygnałem do ogólnego powstania. Obecnie w całej Korei panuje silne wrzenie, skierowane przeciw Japonji. Ta ostatnia wysłała z tego powodu znaczną liczbę wojska na Koreę.

Korespondencje.

Kampina, dnia 29-go Listopada, 1909 r.

Pragnę się podzielić z czytelnikami „Polaka" wrażeniem, jakiego doznałem na zebraniu Towarzystwa „Świt", które się odbyło dnia 21. Listopada w szkole na Kampinie. Udałem się na wyżej wspomniane zebranie jako członek T-wa. ze swoim towarzyszem Władysławem Topaczewskim, który pracuje u nas już parę miesięcy i znamy go, że jest człowiekiem porządnym, kochającym naukę i postęp, postanowił i on wpisać się do „Świtu". Gdy nastąpiło przyjmowanie nowych członków, poszedł do stołu na kandydata W. T. i jeszcze jeden stary kolonista.

Prezes p. T. Morąg widząc, że chce wstąpić do Towarzystwa W. T., powiedział: ale teraz nie będziemy przyjmować do towarzystwa tak jak dawniej; każdy, kto się będzie chciał zapisać do towarzystwa, to wpierw się musimy zapytać wszystkich, czy się zgodzą na niego. Po tym zarządzeniu zapytał się p. prezes, czy zgodzicie się na tego?—wskazując na kolonistę palcem — na co jeden z członków: „znamy go, to się zgadzamy". P. prezes nie pytał się więcej nikogo, przyjął go. Gdy przyszła kolej na W. T., p. prezes zapytał: na tego zgadzacie się? i nie czekając na odpowiedź członków, zawołał „ja się nie zgadzam" i nie przyjęto go na członka. Nie podano żadnych powodów; dla czego prezes nie zapytał się ludzi tych, którzy go znają czy jest on pijakiem lub złodziejem? Gdy jeden z członków M. Sekuła przemówił w sprawie przyjęcia na członka W. T., za którego gotowi jesteśmy ręczyć wszystkiem, na to panna Jadwiga Jabołkowska szepnęła panu prezesowi, aby wyrzucić p. Sekułę z towarzystwa. W. T. prosił o głos, chcąc się zapytać dlaczego go nie chcą przyjąć na członka — gdyż wiem, że ma świadectwa, że przez kilka lat należał do różnych towarzystw w Ameryce Północnej — nie pozwolili mu jednak nic przemówić.

Godnie postępuje towarzystwo „Świt", tak jak rząd rosyjski a nawet okrutniej, bo rząd rosyjski skazańcowi w ostatniej chwili pozwoli jeszcze coś powiedzieć.

A więc na takie postępowanie T-wa. „Świt" ja i inni członkowie występujemy, bo niema żadnej przyjemności być w takim towarzystwie, gdzie zamiast coś robić są tylko kłótnie. Członkowie takowego p. J. Jabołkowska i p prezes T. Morąg, zamiast być zadowoleni z tego, że ludzie postępowi przystępują do T-wa., gdyż mogłoby wtenczas całe T-wo. postąpić naprzód, to oni ich odpychają i odrzucają. Natomiast gdy T-wo. „Świt" urządzało zabawę dnia 31 Października, wtenczas przyjmowano różnych ludzi, nie pytał się p. prezes nikogo z członków czy się zgadzają na ich wstąpienie, dotychczas przyjmowano do towarzystwa nałogowych pijaków, pan prezes nie zaprotestował przeciwko temu, ale przeciwnie byłem świadkiem pewnego czasu, jak mocno stawał w obronie nałogowego pijaka, który w dodatku skrzywdził był niedawno starą wdowę.

Takiego prezesa ma T-wo. „Świt", który zamiast być samodzielnym obywatelem i dążyć żeby wszyscy koloniści się garnęli do nauki i oświaty, to on jest ślepym narzędziem księdza Józefa Anusza i chciałby żeby wszyscy koloniści takimi byli.

Ale ludzi prawdziwie uczonych i samodzielnych ks. Anusz nie lubi i swojemu parobkowi przyjmować do t-wa. nie każe, gdyż oni mogliby często jego błędy wykrywać i piętnować.

Ks. Anusz powinien by lepiej pilnować ambony i konfesjonału, zamiast mieszać się do towarzystwa i siać niezgodę pomiędzy członkami. Jeżeli dalej T-wo. „Świt" będzie miało takiego prezesa jak T. M. i jeżeli będzie rządził nim nadal ks. Anusz, to przypuszczać można, że T-wo. „Świt" przestanie „Świtać" a będzie się miało ku zmrokowi.

Wawrzyniec Kampa.

W sprawie przesiedlenia się Polaków z S. Kataryny do Parany.

Po ogłoszeniu mojego artykułu w „Polaku" zachęcającego do przesiedlenia się Polaków z S. Kataryny do Parany, dostałem od rodaków i znajomych z S. K. kilka listów, w których jedni pytają czy naprawdę warto się przenieść do Parany, drudzy ubolewają, że chcieliby posłuchać mej rady ale boją się aby nie wpaść w ręcy wyrwigroszów i miłośników cudzego dobra, którzyby ich z kilkuletniego dorobku obrali, a jeszcze inni wprost mi robią zarzuty, że za pieniądze fazenderów chciałbym sprzedać ich na zgubę. Postaram się jednym i drugim dać wyjaśnienie.

Czy warto z S. Kataryny przenieść się do Parany? Aby na to pytanie odpowiedzieć dostatecznym jest wskazać fakt, że co rok spotyka się ludzi od dłuższego i krótszego czasu tu mieszkających a pochodzących z S. Kataryny, nietylko Polaków ale i Niemców Włochów i Brazyljan; zapytany którykolwiek z nich czy ma ochotę powrócić, chwali niektóre tamtejsze urządzenia, jak zupełne nieznanie barejr i merkadów, daleko doskonalszy system sądownictwa, sprawiedliwszy podział podatków i łatwiejszy i sprawiedliwszy podział urzędów państwowych, bo można się rozmówić prawie z każdym urzędnikiem po niemiecku, ale powracać nazad tam żaden nie objawia najmniejszej ochoty. Wobec tego tu w Paranie musi być lepiej.

Drugie, czy warto marnować gospodarkę, dorobek kilkunastoletni i puszczać się znów na nowe gospodarstwo? Proszę zapytać tych wszystkich, którzy tu w różnych stronach mieszkają od lat wielu, wszak każden z nich miał swoje gospodarstwo, porzucił je przenosząc się tu i jakeśmy to słyszeli, tego nie żałuje, ja z mej strony dodam, że każden z tych, co tam kilka lat przepędził, tu uchodzi za sprytniejszego. Jeżeli wiedzę gospodarczą nabytą w S. Katarynie będziecie umieli zastosować tu na nowym gruncie to w stosunkowo krótkim czasie dojdziecie do lepszego gospodarstwa jak tam, a ponieważ klimat jest tu zdrowszy, więc i życie sobie o kilka lat przedłużyć możecie.

Aby nie wpaść w ręce wydrwigroszowi, mamy doskonały sposób, nie zawierać żadnych kontraktów za nic w świecie i z nikim; wziąwszy ziemię wprost od rządu, z rządem tylko będziecie mieli do czynienia, a że tu daleko więcej jest ludzi światłych i dobrze nam usposobionych, więc trudno jest kogoś bezkarnie krzywdzić, chociaż sądownictwo i wszelkie dochodzenie sprawiedliwości jest trudniejsze, to jednak wszędzie mamy wpływowych rodaków i krzywda żadna się nie ukryje.

To co powyżej powiedziałem, wystarczy całkowicie i tym, którzy mnie o szachrajstwo z fazenderami na ich niekorzyść pomawiają, nie mogę nigdy i nikomu pośredniczyć w kupnie ziemi, ponieważ koło mnie dla nowych przybyszów ziemia jest za droga, a cokolwiek dalej można takowej daleko taniej i w lepszym gatunku kupić. Tu kosztuje alkier 200 milr. najlichszego kampu a w Fernandes Pinheiro 40 milr. najurodzajniejszej ziemi.

Ponieważ nie chodzi o żaden prywatny interes, ale o dobro ogólne, więc nikomu nie radzę nawet gdzie ma osiadać, dodam tylko, że tak rząd jak i towarzystwo kolei São Paulo Rio Grande swoje ziemie na dogodnych warunkach odstępuje.

Więc rodacy widzicie, że niema się czego obawiać, gdyż to, co tam zostawicie w dzień, tu w nocy znajdziecie, to co teraz i poprzednio powiedziałem, z korzyścią można zastosować i do tych rodaków, którzy po całej Brazylji rozproszeni tęskniąc do swoich pędzą żywot smutny; gdy nas tu będzie więcej tym łatwiej będzie nam uchronić się od wynarodowienia, tym pewniej dzieci nasze zostaną polakami, a to ostatnie przecież jest pierwszym obowiązkiem każdego z nas.

Ignacy Walkowski.

Szanowna Redakcjo!

Niniejszym listem donoszę trochę wiadomości z Agua Branki, co prawda nie bardzo wesołych.

W roku bieżącym nawiedziły nas dwie plagi: pierwsza myszy i szczury, których pó wyschnieniu trzciny onromna moc się rozmnożyła i żyto, owies i groch doszczętnie zniszczyły, najprzód obcinając kłos, potem i słomę W domu także szkody wyrzadzaja ogromne, nawet ubrania w niektórych domach pogryzły.

Druga plaga, to mróz, który nas nawiedził dn. 10, 11 i 12 Listopada b. r., tak silny, że starzy brazyljanie nie pamiętają takiego; ostatni zniszczył resztę co było zielonego, teraz wypalanie ros się odbywa, niektórzy już posadzili, ale się żalą, że milja z ziemi przez myszy jest wybrana i muszą takową powtórnie sadzić.

Józef Bojanowski.

Agua Branka 22 XI-09.

KRONIKA.

RIO DE JANEIRO. Marszałek Hermes podróżuje po stanie Minas Geraes, w celu propagandy kandydatury swojej na prezydenta republiki.

Ludność stanu Minas przyjmuje marszałka na swojem terytorjum bardzo nieprzychylnie, w niektórych miejscach urządzono wrogie manifestacje.

Krążą pogłoski że marszałek Hermes ma zamiar cofnąć swoją kandydaturę na prezydenta republiki.

Minister rolnictwa dr. Candido Rodriguez podał się do dymisji, na jego miejsce został naznaczony dr. Rodolpho Miranda, który od dnia 30 z. m. począł pełnić swoje obowiązki.

Oczekiwane jest przybycie do portu w Rio eskadry okrętów wojennych francuskich, pod dowództwem admirała Aubert.

Rząd brazylijski otrzymał zaproszenie od republiki Chilijskiej na wystawę sztuk pięknych, mającą się odbyć w Santiago w roku przyszłym.

Kongres uchwalił zapomogę w ilości 30 tysięcy milrejsów na marynarkę kupiecką. Zapomoga ma być wypłacona klubowi żeglugi kupieckiej istniejącemu pod nazwą „Club Naval"

KOLEJ ŻELAZNA. Linja kolei żelaźnej Parańskiej przejdzie wkrótce na własność kompanji São Paulo-Rio Grande. Akt kupna wkrótce zostanie zawarty.

STREJK. Na kolei żelaznej w stanie Bahia strejk trwa w dalszym ciągu. Handel i przemysł ponosi olbrzymie straty z tego powodu. Kupcy miejscowi zwrócili się do związku handlowego z prośbą aby łącznie z rządem postarał się wpłynąć na przerwanie strejku.

MORDERSTWO I SAMOBÓJSTWO. Dnia 25 z. m. w Rio de Janeiro w domu przy ulicy Santos Christo rozegrała się krwawa tragedja. Robotnik niejaki Joaquim Novaes zakochał się w żonie jednego ze swych znajomych, a ponieważ ona nie odpłacała mu wzajemnością, więc Joaquim postanowił ją zamordować; w tym celu uzbrojony w rewolwer wszedł do mieszkania swej ukochanej, gdy mąż nie był obecny i dwoma strzałami położył ją trupem, następnie trzecim wystrzałem odebrał i sobie życie.

WYKOLEJENIE SIĘ POCIĄGU. Dnia 25 z. m. pociąg pasażerski idący z Ponta Grossy do Itarare wykoleił się na 37 kilometrze pomiędzy stacjami Carambehy i Tronco. Kilka osób zostało zranionych. Parę wagonów zostało uszkodzonych. Znaczniejszych strat niema.

TAMANDARE. Dnia 29 z. m. w Tamandare wynikła krwawa bójka pomiędzy braćmi Janem i Augustem Mańkowskimi i Janem Grochowskim przyczym Grochowski został niebezpiecznie poraniony. Przybyła policja aresztowała obydwóch Mańkowskich.

SAMOBÓJSTWO. Dnia 30 z. m. w miejscowości Ferrador w municypjum Palmeira, niejaki João Martins de Oliveira w wieku lat 24 odebrał sobie życie w oryginalny sposób a mianowicie: włożył do ust ładunek dynamitu i zapalił go. Spowodowany wybuch rozsadził głowę nieszczęśliwemu w kawałki. W kieszeni samobójcy znaleziono kartkę, w której prosi o zaopiekowanie się jego matką. Powody, które popchnęły Martinsa do tak rozpaczliwego kroku, są nieznane.

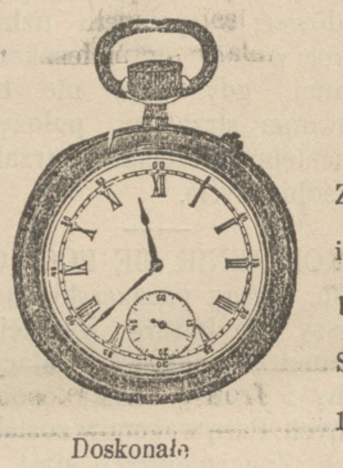
POŻAR. Dnia 27 z. m. spalił się tartak w Balsa Nowie własność firmy Eugenio & Cia. Tartak nie był ubezpieczony.

REDAKCJA POSZUKUJE W BARDZO WAŻNEJ SPRAWIE P. MICHAŁA BRYNDZĘ. UPRASZA SIĘ O OSOBISTE ZGŁOSZENIE SIĘ.

P. JÓZEF GULEWSKI ma do odebrania w redakcji »Polaka« 103 milrejsy nadesłane z kraju.

Roberto Raeder

UL. RIACHUELO Nr. 54 — Caixa postal 13
Kurytyba.

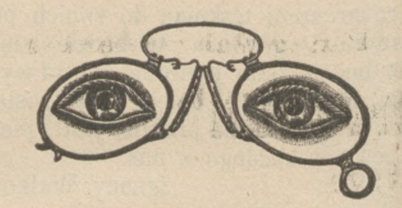


Zakład zegarmistrzowski, który sprzedaje najtaniej i towar najlepszego gatunku.

Poprawia wszelkie zagarki po cenach najniższych

SPRZEDAJE NA SPŁATY
Z PRAWEM DO LOSOWANIA
1$500 TYGODNIOWO w 28 ratach

Doskonałe zegary ścienne, kieszonkowe,



BIŻUTERJE okulary

„Cruzeiro do Sul"

UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE I OD NIESZCZĘŚLIWYCH WYPADKÓW.

Dyrektor — Dr. Teixeira Soares

Kapitał zakładowy — 200:000$000.

Rachunek bieżący w Banco Commercial do Parana. — Warunkowy nadzor rządu federalnego.

Jedyne Towarzystwo w Brazylji, ubezpieczającego od nieszczęśliwych wypadków. Polisy mają siłę na rok jeden, kosztują rocznie od 15 do 45$. Za tą małą jednorozową sumę wypłaca „Cruzeiro do Sul" po wypadku śmierci do 10:000$000, a w wypadku stracenia zdolności do pracy, do 7$. dziennie, stosunkowo do klasy ubezpieczenia. Bez oględzin lekarskich.

Ubezpieczenia dzieci — 7C$. rocznie — t. z. „seguros dotaes.

Bliższe informacje i prospekty otrzymać można u agenta od 11 i pół do 12 i pół i od 5—6 i poł.

R. Speltz

Ul. 13 de Maio 24

Korespondencje po francusku, niemiecku i portugalsku.

Kolonistom i Kupcom

polecamy zaszczytnie znany zakład rymarski rodaka

Fr. Wykroty

który po długoletniej praktyce w pierwszorzędnych warstatach niemieckich otworzył przed rokiem pracownię w Kurytybie.
PRAÇA TIRADENTES Nr. 40 (obok kamery municypalnej).
Z oddziałem na Araucraji

Wykonywa i ma zawsze na składzie uprzęże i chomonta na konie, siodła systemu angielskiego i brazylijskiego, rzemienie, materace i inne tym podobne rzeczy wchodzące w zakres rymarstwa i tapicerstwa.
Robota mistrzowska, towar wyborny, ceny niskie.

Taborda & Irmão

Zawiadamiamy pracowitą i sympatyczną ludność polską stanu, że każdym statkiem przychodzącym bezpośrednio z Europy, otrzymujemy w wielkim wyborze materjały łokciowe, galanteryjne i wszelkie artykuły modne, które sprzedajemy po cenach wyjątkowo nizkich.

Nasze sklepy znajdują się:

1-szy — ul. José Bonifacio No. 1.
2-gi — ul. 15 de Novembro No. 46.

TABORDA & IRMÃO

Dom importowy
W. H. A. Peters

Lustra

Wielki wybró towarów żelaznych, farb, mebli, naczyń kuchen nych i lamp.
Żelazo i stal w sztabach
Pługi — maszyny rolnicze — młynki.
Kupuję skóry, wosk, włosień

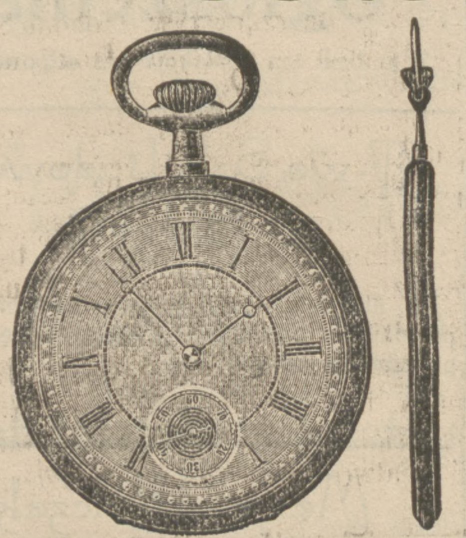
Maszyny do szycia

Nagrodzona na wystawach
Fabryka atramentu
„IDEAL"
Atramenty wszelkich gatunków i kolorów
VELLOSO & C-IA.
Kurytyba.

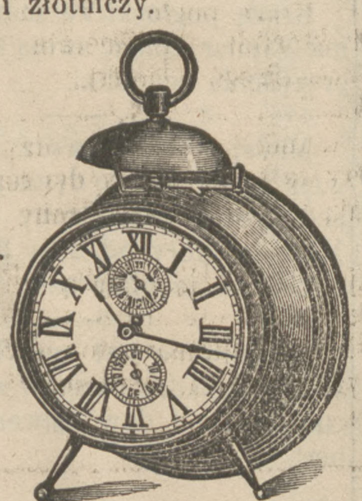
Fabryka kawy i czekolady
„GLORIA"
Plac Tiradentes 41. i filja przy ulicy 15 de Novembro 61.
Alfredo Pessoa.

João Müler

Szwajcarski zakład zegarmistrzowski i złotniczy.



Jedyny przedstawiciel
„UNION HORLOGÈRE"
Wielki wybór ozdób złotych, zegarków, dewizek
Okulary
Ceny nizkie



Ulica Riachuelo 79. Curytyba — Parana.

FERES MERY

Ulica 15 de Novembro Nr. 9.
Kurytyba — Parana.

Skład materjałów łokciowych i artykułów modnych. —

Świeżo nadeszły w wielkim wyborze materjały wyrobu austryackiego, chustki, płótna i t. d.

CENY NAJNIŻSZE!

R. SZPELTZ
Wyrabia zwrot kosztów podróży.
Załatwia wszlkie sprawy sądowe.
Przygotowuje papiery ślubne.
Ul. 13 de Maio 24
Kurytyba.
Korespondencje po portugalsku lub niemiecku

DOM IMBUJOWY oraz kilka innych budynków, stanowiących całość gospodarstwa wraz z 25 alkrami ziemi mniej więcej, jest do sprzedania na bardzo przystępnych warunkach w Dorizon (stacja drogi żelaznej São Paulo-Rio Grande), jest przy tym potrejra 12-alkrowa ogrodzona drutem z bardzo dobrą wodą. — Oprócz tego jeszcze 2 loty 10-alkrowe. Bliższych wiadomości udzieli Wojciech Twardowski w Kurytybie rua Saldanha Marinho 161 oraz firma Paul & Twardowski w Marechal Mallet.

Marcin Szynda i S-ka.

Kurytyba
Plac Tiradentes 8 | THOMAS COELHO

FABRYKA KAWY „BRAZIL"

WSZELKIE ARTYKUŁY T. ZW. SECCOS E MOLHADOS

Obydwa magazyny, w w Kyrytybie i na Thomas Coelho stale obficie zaopatrzone w mąkę żytnią z własnego młyna, kukurydzę, fižon i wszelkie towary krajowe.

Kupuje i płaci najwyższe ceny za wszelkie produkty z kolonji.

Casa
PORCELLANA
SCHMIEDLIN & TAMM

ULICA RIACHUELLO — KURYTYBA

Wielki skład Maszyn i narzędzi rolniczych: pługi, młynki, kosy, siekiery i t. d.
maszyny do szycia wszelkich systemów, stal, żelazo wszelkich gatunków. Drut kolczasty. Brzytwy.
SZKŁO
PORCELANA
KAFLE
MEBLE WIEDEŃSKIE
Naczynia emaljowane, wszelkie instrumenta, części żelazne do drzwi i okien.
Broń i amunicja
Wszelkie przybory myśliwskie
Wielki wybór fojs, noży, łańcuchów, wiader

PRZY KUPOWANIU W SKLEPACH TU OGŁOSZONYCH, PROSIMY POWOŁYWAĆ SIĘ NA NASZE PISMO!!

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

WACŁAW GĄSIOROWSKI

ROK 1809

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

18

Świerzyński wówczas udał się z raportem do pułkownika. Czas był po temu największy, ile że dwa bataljony ósmego pułku gotowały się już do wystąpienia w pole. Godebski dał rozkaz, aby mu sierżant sprezentował rekruta, a wówczas wyznaczy mu kompanję. Przedstawienie miało się odbyć nazajutrz rano, przed ruszeniem bataljonów.

Sierżant był poruszony do głębi tym rozkazem, do późnej nocy przy świetle łojówki przepowiadał z panem Tadeuszem obroty, wykładał mu, jako trzymać się należy w kolumnie, jak łamać front, jak zachodzić a formować się w czworoboki, trójki i szóstki. O świcie sierżant zerwał się na nogi, zbudził pana Tadeusza i rozpoczął sam odziewać ochotnika. Każdą część ubrania jeszcze po kilka razy obejrzał, otrzepał, każdy rzemyk przetarł zanim zapiął.

Potrzeby nadesłane przez panią Dąbrowską, były w przednim gatunku. Sierżant z zadowoleniem je rozpatrywał, a od czasu do czasu zdobywał się na stosowną uwagę.

— Smyku, rekrucie, widzisz... klamerka kuta... a srebrzona w ogniu!.. Kula nie liźnie, a rdza nie chwyci!... Bierz cię djabli!...

— Prawda! przyznał Zabielski, chcąc przyśpieszyć ubieranie.

— Prawda! Dużo wiesz!... Prawda! Pyta się kto go o to!... Albo te lederwerki!... Piersi równo... lederwerki świńskie!...

— Chyba nienajgorsze!...

Sierżant aż się zatrząsł na taką herezję.

— Świńskie są najlepsze smyku, rekrucie, niedołęgo! Nie masz nad świńskie! Takich lederwerków może w całym pułku nie znajdziesz!.. Są psie, wołowe, cielęce, ale nie świńskie! Tamte na deszczu miękną a na wietrze i słońcu trzaskają! Dwie godziny poleruj woskiem codzień a zmatuje ci na byle wilgoci! Ba, a i gniecie i uwiera! Ale świńskie! Smyku, rekrucie!... Świńskich lederwerków to... i sam cesarz nie ma!... Bierz cię djabli...

— Chyba cesarz!...

— Milczeć!... Nie ma, powiedziałem! Milczeć! Co to za rezony!... Subordynacja bierz cię djabli!... Urbało się smykowi, że cesarz w lederwerkach chodzi! Rób z takiego żołnierza... bierz cię djabli!... Stać powiedziałem!... Kaszkiet na głowę!... Równo! Toć nic szlafmyca!... Obróć się!... Ładownica już ci zezuje!... Z łapy kułaka nie rób!... Naści karabin!... Baczność! Na-ra-mię... broń!...

Sierżant pokręcił wąsa i zmierzył błyszczącym spojrzeniem Zabielskiego. Jeszcze raz brwi ściągnął, jakby chciał coś zganić... Daremnie. Zabielski stał wyprostowany jak struna, uniform pasował tak, że zdawał się z rekrutem jedno stanowić ciało.

Świerzyński odchrząknął i ozwał się cicho:

— Jest jeszcze dosyć czasu... pułkownik jeszcze rannych raportów nie odprawił!... Hm!... U mnie jesteś, musi być więc po mojemu... nie po farmazońsku! Rozumiesz?!...

— Nie sierżancie!...

— Ehe! Może ci także po głowie chodzą jakie herezje! No?!... Przyznaj się, przyznaj smyku, rekrucie a uszu nakręcę!! Patrzcie go lada młokos! Ani mi się waż!... Co tam cesarz ma z papieżem to... to... ich sprawa a nie twoja żołnierska!... Słyszałeś smyku, rekrucie?!... Baczność... marsz na prymarję grzeszne cielsko przed majestatem Pańskim upokorzyć!... Bierz cię djabli!...

Tego samego dnia jeszcze, według zapowiedzi sierżanta, zaprezentował on pułkownikowi pana Tadeusza. Pułkownik z upodobaniem przyglądał się zuchowatej postawie ochotnika i dosyć wprawnie wykonywanym na komendę ćwiczeniom. Gdy sierżant skończył popis i zwrócił niepewne spojrzenie na dowódcę — Godebski rzekł łaskawie.

— Dzielnie, wybornie!... Winszuję ci sierżancie rekruta, na zucha wyjdzie! Acanowi zaś życzę i dalszego wytrwania. Brak ci jeszcze obycia z szeregiem, wprawy we władaniu karabinem, mustr pułkowych, ale... to przyjdzie!... Tylko cóż ja z acanem pocznę, trzeba ci do Modlina iść... tu, widzisz, rozprawa będzie, a już serca bym nie miał na bitwę cię ciągnąć! Świerzyński, jakże myślisz?!

— Smyk, rekrut... bierz cię djab... kurczę, panie pułkowniku!...

— Tak... tak!... Mogą się zacząć długie marsze, pochody!.. Nie wątpię, że serca ci nie brak, lecz obowiązek nie pozwala mi wydawać cię na pewną zgubę! Żołnierzowi wyćwiczonemu nie dotrzymasz, opadniesz na siłach!...

Pan Tadeusz posmutniał. Pułkownik potrząsnął głową, jakby samego siebie chciał utwierdzić w postanowieniu i zagadnął:

— A może Modlin ci się nie uśmiecha? Może wolisz do Częstochowy, pod pułkownika Stuarta, wielki żołnierz!.. Jakże myślisz?!..

— Panie pułkowniku, jeżeli wolno mi wybierać...

— Mów śmiało! Pragnąłbym szczerze coś dla acana uczynić...

— Jeżeli wolno, to chciałbym być w plutonie sierżanta Świerzyńskiego!...

Sierżant brwi nastroszył, Godebski poruszył się niecierpliwie.

— Ba!.. Chwalę wybór! Tylko nie wiesz na co się deklarujesz!... Sierżant dowodzi plutonem, który idzie w mojej eskorcie!.. A w tej bywa czasem kaducznie gorąco!..

— I... dlatego, panie pułkowniku, tem bardziej proszę!...

— Smyk... rekrut! — mruknął Świerzyński.

Godebski wzbraniał się i tłumaczył.

— Acan wybij to sobie z głowy! Acanowi przywidziało się! Zapał zapałem, lecz do niego potrzebną jest eksperyencja, sprawność! Z regularnym żołnierzem będziemy mieli do czynienia i z austryackim, a ten po francuskim chyba najlepszy! Odznaczyć się, zasłużyć, będziesz mógł wszędzie, jeżeli dobra wola będzie — jeno leźć na niebezpieczeństwo pewne, gdy ani o nim dostatecznego nie masz pojęcia, ani nie potrafisz dać sobie z nim rady, to nie do darowania!.. Dwa, trzy tygodnie ćwiczeń, a samego siebie nie poznasz! Nadto nie zapominaj, że, nic tak nie psuje szyku, nie utrudnia zadania, jak gdy między starym żołnierzem znajduje się rekrut! Wybij sobie z głowy tę myśl!...

— Wybij sobie, smyku, rekrucie! — przytwierdził sierżant.

— Szkoda by cię było!...

— Panie pułkowniku... pan generał rozkazał mi w każdej potrzebie adresować się do pana pułkownika!

— I tego się trzymaj!... Możesz liczyć na mnie!...

— Więc ja najmocniej śmiem obligować, aby mi wolno było... iść pod sierżantem!.. Nie święci garnki lepią!.. A już tam moją osobą kłopotu nie przyczynię, a może i na coś się zdam!

Godebskiego ta odpowiedź chwyciła za serce.

— Niech i tak będzie!... Tak się napierasz!.. Jeden warunek tylko, że sierżant zgodzi się wziąć cię pod swoją opiekę!.. Bo to zadanie ciężkie!..Hm!.. No jakże? Świerzyński?!...

— Cóż, panie pułkowniku smyk... rekrut... niedołęga... Bierz cię djabli, niech idzie!... Będzie co... uszu nakręcę i tego bierz cię djabli!...

— Skończone!.. Na noc ruszamy za bataljonami pod Nadarzyn!

Pułkownik skinął ręką i oddalił się śpiesznie do swej kwatery kończyć ostatnie przygotowania do wymarszu swego oddziału.

Po odejściu Godebskiego Zabielski zbliżył się do sierżanta i ozwał się nieśmiało:

— Sierżancie... dziękuję wam za przyzwolenie wasze!...

Świerzyński żachnął się, jakby go osa ukąsiła, zmierzył pana Tadeusza piorunującym wzrokiem i zgromił.

— Milczeć! Rekrut... smyk! Równaj się!

Ani pary z gęby! Bierz cię djabli! Taki pucak sobie myśli!.. Z pułkownikiem gawędy tnie!...Zuch! Pluńie raz baterja, to mu cały humor w łydki zapędzi! Napiera się!... jemu do eskorty! Bierz cię djabli! Broń złożyć—trzy godziny luzu a potem do roboty! Marsz!

Zabielski skorzystał z otrzymanego zwolnienia i wybiegł na miasto poczynić zakupy żołnierskich drobiazgów, na których mu zbywało. Na Starem Mieście u rymarza wpadł mu w oko błyszczący a mięsisty pas sierżantski. Pan Tadeusz wspomniał na swego instruktora i zatargował pas. Rymarz drożył się i prawie rozstać się z nim nie chciał, lecz gdy mu Zabielski pokazał dukata, zmiękł i pas oddał.

Powróciwszy do swej izdebki pan Tadeusz, chcąc zrobić sierżantowi niespodziankę, nieznacznie powiesił na kołku przy mundurze Świerzyńskiego nowy pas a stary schował.

Nad wieczorem, po skończonej mustrze, którą niestrudzony sierżant raz jeszcze odbył z rekrutem—ordynans pułkownika nadbiegł z rozkazem, żeby za godzinę Świerzyński z Zabielskim byli gotowi do drogi.

Sierżant natychmiast jął się zbierać, oka nie spuszczając z rekruta. Zabielski atoli spisywał się dobrze. Tornister miał zapakowany bez zarzutu, według instrukcji Świerzyńskiego, streszczającej się w słowach—pęczek nici, szczotek dwie, sukieeko i deszczułki do guzów, wosk, czrenidło, dwa postronki, rzemyk, gałgan, w gałganie szarpie, w szarpiach puzderko, w puzderku igła!... Koszul dwie, onucze, buty drugie i tam dalej, bielizna!... Kociołek! łyżka za cholewą!

Sierżant sam jeszcze opatrzył Zabielskiego, obciągnął na nim mundur, poprawił lederwerki, wygładził i sam wreszcie zaczął się odziewać.

Pan Tadeusz spoglądał z pod oka na Świerzyńskiego, czekając rychło sierżant za pas się schwyci. Jakoż Świerzyński zaciągnął halsztuk, wdział mundur zdobny szewronami a krzyżami, guzy zapiął i sięgnął na kołek po pas. Ręka jego dotknęła mięsistego, lśniącego rzemienia i zatrzymała się ze zdziwieniem. Sierżant z miną znawcy jął przyglądać się pasowi.

— Oficerska sztuka! — mruczał do siebie, — Bierz cię djabli... świński!.. Półtoraczny prawie! Klamra zamczysta, dwa koniki... Phi!... Bierz cię djabli... generalski rzemień!.. Jak się to świeci a śmieje, psianoga... No, ale gdzież mój?... A skąd ci ten?

Sierżant spojrzał z pod oka na Zabielskiego i zagadnął gniewnie.

— Smyku, rekrucie bierz cię djabli... Cóż, nie widziałeś mego pasa, gdzie się podział do djaska?

Zabielski uśmiechnął się filuternie.

— Macie go sierżancie w ręku.

Świerzyński szarpnął się.

— Ten pas!.. Cóż ty?... Ja miałem kiedy taki? Tfy!.. Kapitan takich nie nosi... Gdzie mój?!

— Sierżancie, klnę się, że swój własny macie w ręku.

Świerzyński zmierzył badawczym spojrzeniem Zabielskiego i spuścił oczy na błyszczącą klamrę pasa.

— Taki pas—szeptał do siebie.—Świński pas!.. Półtoraczny!.. Kafarek w legji trzy by z niego wykroił, zamaszyste! Dwa koniki i jedna zapinka... Taki pas!.. Klamra kuta nie lutowana, srebrzona, polerowana!.. Bierz cię djabli...

Sierżant urwał nagle i huknął surowo.

— Smyku, rekrucie, sam tu, bierz cię djabli!

— Według rozkazu!—odpowiedział ochoczo pan Tadeusz.

— Skąd go wziąłeś, gadaj!..

— Wasz, sierżancie!

— Mój?.. Smyku!.. Jak się ważyłeś?

— Nie chciałem was tym urazić — odrzekł cicho pan Tadeusz.

Świerzyński zmarszczył się i rzucił przez zęby.

Przekupstwo w wojsku! Smyku, rekrucie! Wiesz, co to jest przekupstwo?.. Na odwach trutnia! Patrzcie go, farmazona! Kubana mi dał! Tfy! Smyk, rekrut, niedołęga.. bierz cię djabli! Mnie kubana!.. Raport do pułkownika!.. Przepędzę, niesubordynacja, uchybienie randze.. Bierz cię djabli! Taki pas!

Zabielski zmieszał się tym niespodziewanym wybuchem gniewu, lecz wzrok Świerzyńskiego znów padł mimowoli na klamrę pasa, złagodniał nagle, twarz Świerzyńskiego rozpogodziła się. Machinalnie rozwinął go, zapiął pas na sobie i wykręcił się na miejscu.

— Co?! Smyku?! Idzie, hę?!

— Jakby ulał, sierżancie!—przyznał z ukontentowaniem pan Tadeusz.

— Hę ulał?! Smyku, rekrucie, przekupstwo w wojsku! Mnie, Świerzyńskiego, sierżanta majora drugiego pułku, pierwszego bataljonu, grenadjerskiej kompanji, będziesz kubanami raczył?! Jać nauczę.., bierz djabli! Taki pas! Świński!... Półtoraczny! Tfy! Jeszcze marudzisz? Zbieraj się, rekrucie, smyku! Kubana ci się chciało, dam ja ci kubany, dam! Karabin w garść! Za mną!

Świerzyński pośpiesznie zarzucił na siebie lederwerki, przypiął tornister, ładownicę i wziąwszy za broń, wyprowadził Zabielskiego przed podjazd domu, zajmowanego przez pułkownika. Przed podjazdem czekał już wóz sianem usłany, a wyładowany rzeczami pułkownika.

Po małej chwili ukazał się Godebski z adjutantem, skinął łaskawie prezentującemu broń sierżantowi i ozwał się:

— Cóż, stary, ruszamy do roboty!

— Według rozkazu, panie pułkowniku!...

— Jutro o tej porze będziemy pewno w ogniu! Phi! Świerzyńsiu, a cóżeś to za pas założył!...

Sierżant poczerwieniał i zaraportował z przejęciem.

— Melduję pokornie panu pułkownikowi przekupstwo w pułku!...

Godebski spojrzał ze zdumieniem na sierżanta.

— Co tobie, stary?!..

— Tak, panie pułkowniku, przekupstwo! Rekrut, smyk... niedołęga kubany rozdaje, niesubordynację kaptuje sobie!...

— Kto? Co?!

— Ten, panie pułkowniku, smyk! Kubany!.. Taki pas świński, półtoraczny, dwa koniki, zapinka, klamra srebrzona, polerowana!... Daje kubany a... a... sierżant major pierwszego bataljonu grenadjerskiej kompanji bierze!...

Pułkownik roześmiał się szczerze, lecz sierżant nie dał się zbić z tropu.

— Przekupstwo, panie pułkowniku, tego smyka, rekruta, niedołęgi... i... chciwość starego karabina!...

— Ho, ho! Mości Świerzyński!—odparł, śmiejąc się Godebski.—Policzymy się z waszecią! Jak go teraz na zucha nie wypromujesz, będzie źle! Ale myślę, że wstydu ci nie uczyni!...

— Licho wie, panie pułkowniku, czasem smyk taki mocny, a w potrzebie cała siła w nogi mu rejteruje!

— Zobaczymy, zobaczymy! Dalej! W konie! Czekają nas!

Pułkownik wskoczył żwawo na wóz, obok niego usadowił się adjutant, Świerzyński z Zabielskim zajęli miejsca na tyle, przy tobołkach.

Konie ruszyły żwawo ulicami Warszawy, ku Jerozolimskim rogatkom.

Pan Tadeusz rozglądał się dokoła ciekawie. Warszawa zgoła mu się inną wydała.

Rozgwar ucichł, rozpłynął się w opustoszałych ulicach. Życiem tryskające a rozwarte naścieżaj bramy pałaców zamknęły swoje podwoje, okna zasłonięte okiennicami poglądały smutnie na błąkających się gdzieniegdzie przechodniów. Sklepy a kramy ledwie że na najparadniejszych ulicach były otwarte. Wrzące jeszcze wczoraj miasto okryło się całunem ciszy ponurej, głuchej, trwożnej. Zdawało się, że ta potężna gromada murów zaparła oddech, stłumiła bicie serca i nadsłuchiwała, kędy śród ledwie rozgrzanych wiosennymi podmuchami pól snuła się zwarta wstęga karabinów, kędy na powitanie skowronków ciągnęły orły, kędy miast jigawek pastuszych wiosnę pozdrawiały bębny.

Warszawa zaparła oddech, wytężyła wzrok w w dal chmurną i patrzyła—w ślad za tymi, którzy odeszli z wiarą, z otuchą, odeszli aby może nie powrókić.

Warszawa zaparła oddech. Odeszli! Czyli na zwycięztwo, na tryumf? Czyli na krwawą ofiarę?!...

Warszawa zaparła oddech. Niedawne dni niedoli stanęły przed nią. Stanęły w łunach pożarów, zgliszczach walących się rodzin, śród jęków, skarg, niezabliźnionych ran i wstrząsnęły jej posadami. Bolesne zwątpienie wżarło się w jej łono i szarpało się i darło.

Znów mgły, znów kłęby dymów armatnich, znów jutro zawisłe na ostrzach bagnetów, na obłoczkach wiodących granaty.

Odeszli z pieśnią!

Warszawa—matka, z dumą poglądała na zapał synów, z rozradowaniem wsłuchiwała się w ich pełne nadziei wróżby, była mężną ich mestwem, była silną ich wiarą. Rozpromienionym żegnała rozpromienionym obliczem, łza jej była hardą i była wstydliwą, bo nie ze słabości się poczęła ale z mocy, z dobrej woli, z tego, co ludy budzi, co porywa, co wiedzie.

Lecz gdy za ostatnimi szeregami zamknęły się błękity horyzontów, gdy ostatnie odezwy pobudek zbrataly się z poszumami wichrów, gdy zabrakło naraz i trudu i tych gorączkowych przygotowań i tych serdecznych trosk o amunicję, oręż, kawał rzemienia, płat sukna, ogarnął ją smutek, rozterka.

Z lic jej znikły odblaski zapału.

Przeszłość ponure snuła wróżby.

Ulicamy od czasu do czasu ostatnie mknęły podwody zapóźnionych oficerów, ostatnie wyciągały jaszczyki, ostatnie furgony i ostatnie pojazdy tych, których z Warszawy wypędzała zawsze troska o całość własnego mienia, o spokój tkliwych serc, delikatność uczyć. Ci znikali niepostrzeżenie, raptownie, upatrując co zaciszniejszych miejsc. Ci już tu nic nie mieli do czynienia po wychyleniu ostatnich kielichów na pożegnalnych reunionach, a boleli nawet bardzo, że Wielkanocne przyjęcie u ksiecia ministra prawdopodobnie przepadnie.

Ta cisza grobowa, zalegająca miasto, poruszyła pana Tadeusza tak, że nie mógł zapanować i szepnął z cicha do Świerzyńskiego.

— Sierżancie! Toż jakby wszystko wymarło!

Świerzyński spojrzał ostro na Zabielskiego i mruknął gniewnie.

— A cóż ty rekrucie, smyku... chciałbyś, żeby za piecem siedzieli?

— Nie... ale tu ani żywego ducha.

— Głupiś! — uciął sierżant i wskazał ręką na czerniejące w dali masy ludu.—A tam co? Tam?

— Okopy, smyku, rykrucie, niedołęgo!—wrzasnął sierżant z takim impetem, że aż pułkownik się odwrócił.

— A cóż ty stary?

— Nic, panie pułkowniku, tylko... smyk...

— Pofolguj mu!... nie burcz!...

— Kiedy... bo... melduję pokornie, androny plecie... okopów nie widzi!... Coraz tępszy!...

— Cicho, cicho stary... nie dokuczaj... Kubana ci dał—żartował pułkownik.

— Właśnie panie pułkowniku, do przekupstwa, to... to... djabła samego by tym pasem skusił. Tfy! Smyk, rekrut, bierz cię djabli!... A okopów nie widzi!

Pułkownik pokiwał smutnie głową.

— Ciężko bo ich dojrzeć jeszcze... ciężko! Nie wiele czasu na sypanie zostało!... Ba! A nie dość się okopać, jeszcze na wałach stanąć trzeba!... Nie ma komu! Nie daj Boże, żeby aż tu miała dojść rozprawa.

— Panie pułkowniku — wtrącił żywo adjutant Dobiecki—do tego nie przyjdzie. A gdyby... wówczas nieprzyjaciel takiego zazna przywitania, że noga jego tu więcej nie postanie!

— Mało rąk do obrony! Sięgnij waszmość okiem!... Jakiego by to garnizonu potrzeba na obstawienie tej połaci ziemi, a ilu armat!

— Są gwardje narodowe!

— Nie widziałeś ich z bliska! Warszawa, to nie Modlin, w którym garść żołnierzy może się bronić do ostatniego ładunku!... Są gwardje!... Duch w nich wielki, lecz sprawności zamało, karności brak, musztry niema! Toć przed nami armja wyrobiona, zawzięta w obrotach, dobrana, sformowana nie wczoraj!... A tu czterdzieści złych armat na milę obwodu!.. Ba, a w obwodzie tym mury co lata stoją, mury, które trzeba oszczędzać i szanować i chronić, których na bombardowanie wydać ciężko!...

— Więc pan pułkownik mniema, że w razie gdyby pierwsze spotkanie wypadło źle, Warszawę trzeba byłoby ustąpić?!...

— Mości Dobiecki—odrzekł spokojnie Godebski.—Naszą rzeczą jest tak się stawić, abyśmy nie potrzebowali zastanawiać się nad losem stolicy!...

— Jednakże gdyby przyszło do tego!...

— Wolałbym tej chwili nie dożyć! — Ale do licha, ta potrzeba długo potrwać nie może!... Cesarz na tyłach taki wstręt im uczyni, że ta fala odpłynie niebawem a potem ani chybi pan Caulincourt rosyjskie wyjedna posiłki. Byle pierwsze chwile przetrzymać, byle impetowi się oprzeć a tam minie reszta...

— Panie pułkowniku, mam dobre przeczucie! Da Bóg owo pierwsze spotkanie pod Grzybowem na dobrą wróżbę nam wyjdzie!

— Gorąco bym tego pragnął, lecz nie ufam wieściom! Osipowski dzielny żołnierz, lecz z taką garścią na awangardę się rzucić!

— Dwa szwadrony węgierskich huzarów rozbili na miazgę!... Czterdziestu samego niewolnika!...

Godebski kręcił niedowierzająco głową

— Słyszałem, mówili... lecz nie zdaje mi się. Jazda węgierska mocna!... Chociaż!... Cieszę się i z tej wieści... Młody waszmość jesteś, wierz mi, czasem po bitwie a i to nie wiesz czy wygrasz, czasem na placu nocujesz a gdy nazajutrz policzysz ubytek, przekonywasz się dopiero, że ten zwycięzył kto uszedł! Dowiemy się w głównej kwaterze! Jeżeli Osipowski bodaj pluton wziął do niewoli i to dobrze!... Potyczka urosła na walną bitwę... i to wygrana! Dla ducha to wielka rzecz, lecz dla sztabu, dla wodza, dla sprawy naszej... et!...

— Panie pułkowniku — ozwał się nieśmiało adjutant. — Czemu tak gorzko brać... dobra nowina krzepi!...

— Prawda, prawda! — westchnął Godebski — Cóż chcesz, nie darmo posiwiałem na skroniach! A z siwizną nadchodzi czasem nieufność!... Tyle bitew, tyle zawodów, tyle rozczarowań!... Nadchodzą lata, gdy człek stygnie, słabnie a to, czego własnymi nie oglądasz oczyma, bierze snadnie za marę, chroni się przed ufnością, aby może mężniej znieść zawody. W twoich latach, poruczniku, klnę się, ani na włos inny nie byłem!

Paliło się w sercu i w głowie! A teraz, cha, żona, dwa paupry... Jak się pomyśli — to już czasem ciężej o hazardach myśleć, chciałoby się strzedz życia, strzedz zdrowia... nie dla siebie, nie dla siebie.

Godebski westchnął ciężko i spojrzał rozmarzonym okiem ku niebu, na którego ciemniejącym stropie gwiazdy zaczęły już zapalać swe migocące pochodnie. W piersi pułkownika ozwała się dusza poety.

— Piękny zmierzch, cichy, wiosenny! Matka ziemia nasza do snu się układa. Tam na skraju, ostatnie smugi słonecznych promieni zapadają, krwawą drogę zostawiając na chmurach!

Pola perlą się ostatnimi łzami stopniałych lodów, zdają się grzbiety wyginać i czekać na sochę, na pieśń oracza, na ziarno, które ma je w aksamity zielone przyodziać, haframi i makami ustroić, kiściami ozdobić. Lecz inna chyba na nie dola... Zachód płonie... Spiżowe radła wloką się, dzwoniąc łańcuchami. One tu bruzdami będą pruć, one zrzynać kożuchy czarnoziemu, one te drzewa osmyczą i z wilków i z gałęzi i z młodych pędów! Zanim soki trysną z konarów ku niebu, zanim pęki rozzielenią zczerniałe pnie i obumarłe witki — już posypią się drzazgi, jękną sosny, jodły własną okryją się miazgą, a olszyna nieutulonym rozpłynie się żalem.

Zczezły śniegi, skostniała opoka już oddycha ciepłym tchnieniem zefirów, już czeka tego słonecznego promienia, który dosięgnąwszy jej, zamienia w noc jedną na miękki kobierzec — daremnie. Matka ziemia dziś czeka, łono swe rozerwać ma najpierw dla tych, co idą krwią własną dowodzić praw swego dziedzictwa. Tu... szerokie kurhany zazielenią się potem, tu długo śród ponurych nocy, na skrzydłach wichrów jesiennych echa wojenne będą rozbrzmiewać aż lata utulą okrzyki rozpaczne, aż lata zagłuszą zajadłe komendy... Pochylą się krzyże, osuną ku ziemi bezwładne ramiona i rozsypią. Pług około kurhanów zataczać będzie kręgi coraz bliższe, coraz mniejsze aż zaginie ślad, aż ziarno wzejdzie. I zostanie tylko słuch i przetrwa tylko pieśń!

Godebski zamilkł. Konie rwały z kopyta. W oddali ukazały się już oddalone ognie biwaków.

Pułkownik spojrzał ku zadumanym swym towarzyszom i ozwał się raźno.

— Do djaska! Człowieka rozmazanie takie czasem ogarnia!... Tfy! Na psa urok! Starość, sentymenta! Wy młodzi na tem się nie rozumiecie... ale bo nam, starym trzeba dopiero armatniego grania! A wtedy... lżej i bliżej lat młodych! Dawniej przed bitwą krew w żyłach burzyła się — dziś jej trudniej! No, mości Dobiecki, nie tobie jeszcze melancholji się poddawać! Da Bóg my ze starym Świerzyńskim w tyle nie zostaniemy! Co! Staliśmy obok siebie nie raz!

Wachmistrz nastroszył wąsy, otarł łzę rękawem i odrzekł raźno.

— I... i... praliśmy, panie pułkowniku.

— Ot... właśnie!... Tylko stary w potrzebie... nie zapędzaj się z karabinem, jako miałeś we zwyczaju. Należy baczyć, lata idą!... A przytem chciałbym cię mieć przy sobie. Nadto masz tego... ochotnika pod bokiem... Młodego trzeba pilnować!... Gorączka z niego wielki!

Pułkownik urwał nagle i obrócił się w stronę, kędy od strony obozu galopowało drogą trzech jeźdźców. Godebski wychylił się z wozu.

— Czy mnie oczy nie mylą? — zawołał ku nadjeżdżającym. — Toć pan Józef Krasiński!

— On sam, on sam! — odpowiedział basowy głos. — Witam was mości pułkowniku.

— Skąd i dokąd?

— Z głównej kwatery.

— Co słychać?

Krasiński zaśmiał się sucho.

— Cha, cha! Złoto brzęczy, wino się leje...

— Co waszmość? — zagadnął zdziwiony tą odpowiedzią Godebski.

— Tak ci jest... Biorę oto na świadów imć panów Sawickiego i Kilińskiego, którzy są tu ze mną.

— Witam, nie poznałem, ciemno — usprawiedliwił się pułkownik, zamieniając ukłony z towarzyszami Krasińskiego, a potem, zniżając głos, zagadnął.

— Więc znów, znów... jak dawniej!

— A waćpan miałeś iluzje? — bąknął rubasznie Krasiński. — Po staremu, po staremu!... To, co z pań zostało, to już było w głównej kwaterze... Pani de Vauban tylko co była właśnie odjechała... ale za to Kurdwanówna jest. Wstyd! Zgroza!... Karmenecki już bank założył!... Raszyn aż dudni od ochoty!... W moich oczach adjutant Różnieckiego, który przyjechał z raportem o bitwie pod Nadarzynem... zgrał się do ostatniego szeląga.

— Była bitwa?

— Przed dwoma godzinami, tuż przed frontem pozycji twego pułku! Nic ważnego, kawalerja nieprzyjacielska starła się z ułanami. Kilkunastu rannych, kilku niewolnika!

— Są już tak blizko?

— Mości pułkowniku, zanim Karmenecki drugi bank założy, będziesz ich miał jak mrowia.

Godebski załamał ręce.

— Wierzyć mi się nie chce! Strach pomyśleć! Główna kwatera!... I tam nawet nie ma statku, nie ma pomiarkowania!

— Jest, jest! — szydził Krasiński — na własne oczy widziałem Rautenstraucha jak już nie mógł pić więcej!...

D. c. n.

Pogadanki Naukowe

II.

SŁOWIANIE.

Uroczystości i obrzędy.

Postrzyżyny.

(Według Starej Baśni Kraszewskiego).

D. c.

Do lat siedmiu u dawnych Słowian chłopcy zostawali pod opieką matek, — zacząwszy ósmy rok, przechodzili pod opiekę ojców. W dniu tym, w dniu urodzin, odprawiano tak zwane postrzyżyny, obrzęd, przez który chłopię dostawało imię, wchodziło w świat i za dziecko przestawało być uważane.

Na tę uroczystość ojciec rodziny spraszał wszystkich krewnych, sąsiadów, przyjaciół, a gdy chata pełna była, wówczas szli wszyscy starsi przed dom, gdzie rósł dąb rozłożysty; zasiadał pod nim ojciec, służba stawiała obok ceber ze źródlaną wodą, krewni go otaczali, a matka przyprowadzała syna. Chłopiec był przybrany na ten dzień w białą suknię; jasne, długie włosy, których ani razu nie tknęły nożyce, spływały mu na ramiona. Przyprowadziwszy chłopca do ojca, który powstał na jego przyjęcie, oddawała go mu w ręce; pacholę pochylało się do nóg starca pokornie. on podniósł je, naprzód do serca przycisnął, poczym nabrawszy dłonią wody z cebra, skropił głowę chłopca, a czyniąc to, wzywał boga bogów, niewidzialnego, lecz najpotężniejszego ze wszystkich, by miał w opiece chłopca. strzegł od wroga i grzechu: następnie ująwszy nożyce, które mu jeden z krewnych podał, przystrzygał najprzód synawi włosy nad czołem i te krewnym na pamiątkę uroczystości oddawał, potem dokoła przycinał. To uczyniwszy, zbierał skrzętnie resztę włosów i. zwinąwszy je starannie, oddawał matce, aby pod kamieniem zakopała — bo uważano za szkodliwe, jeśli włosy dostały się na ogień, lub wiatr je zaniósł w pole; to uczyniwszy, zwracał się do chłopca.

— Od dziś zwij się Leszkiem — mówił do niego, lub inne jakie imię mu nadawał.

Gdy obrzęd dokonany został wówczas z ogródka łączącego się z chatą, odzywała się pieśń postrzyżyn: — Dziewczęta, tam zebrane, ukazawszy się pod dębem, wzywały słońca jasnego, aby zesłało szczęśliwe promienie na głowę chłopca; rosy, aby go poiła życiem i męstwem; ziemi, aby w niego wlała ducha, aby urósł silny i wielki jak dąb, świecił jak gwiazda, jak orzeł padał na wrogów; — poczym skacząc koło niego, klaszcząc w dłonie i krzycząc »Łado! Łado!« odżegnywały od niego złe duchy, tak zwane biesy, oraz urok i nieszczęścia; matka zaś, przyniósłszy wieniec, upleciony z dziewanny, rosiczki, bylicy i gałązek jemioły, kładła go na głowę syna; wieniec taki miał, wedle pojęć starych Słowian, zdrowiem i szczęściem darzyć dziecko. Teraz znowu ojciec zbliżał się do chłopca, brał go za rękę, i prosząc gości, by szli za nim, prowadził wszystkich na żalnik*). Tam Pozdrowiwszy duchy dziadów chłopiec składał na ich mogiłach ofiary, które mu podała matka: wylewał miód na mogiły i stawiał na nich miseczki z jadłem. Następnie wracali wszyscy pod dąb, gdzie zastawiali wielki stół, białym płótnem nakryty, na nim misy z mięsiwem, kosze z owocami, kołacze i dzbany z piwem, — zasiadano przeto do uczty, przy której pieśni i dźwięki gęśli nie ustawały.

Do późnej nocy trwała zwykle taka uczta. Gdy goście się rozeszli, wówczas matka, objąwszy ramieniem syna, składała na jego czole czuły pocałunek, a często łzami oblewała jego głowę, poczym ojciec zabierał go z sobą, odtąd bowiem chłopiec miał sypiać z nim razem i z braćmi starszymi, dzielić ich pracę i zabawy, chodzić z nimi za pługiem, uganiać się po lasach za zwierzem, zapuszczać sieci na ryby, pilnować pszczół w ulach, harcować na koniu i do boju z wrogiem się sposobić.

Pogrzeb pogański.

(Ze Starej Baśni Kraszewskiego.)

Ojcowie rodziny nietylko za życia, lecz i po śmierci u starych Słowian wielką czcią byli otaczani. Gdy umarł starosta, chowano go zwykle bardzo wspaniale; cała rodzina zbierała się na pogrzeb, który odbywał się zupełnie inaczej niż dzisiejsze pogrzeby, gdyż Słowianie ciał zmarłych nie grzebali, lecz palili je na stosach. Zaledwie pan domu zamknął oczy, wnet rodzina rozsyłała w różne strony gońców do braci jego, do sióstr, do dalszych krewnych, do sąsiadów i przyjaciół, zapraszając na pogrzeb; poczym córki zajmowały się ubraniem zmarłego: — kładły mu świąteczną odzież, czapkę z kitą, łuk na piersiach mu zawieszały; przez ten czas matka przywdziewała szaty świąteczne, najpiękniejsze, jakie miała, stroiła się w bursztyny, w świecące naramienniki; — a gdy córki wyniosły trupa ze świetlicy i na ławie w izbie gościnnej go umieścił, siadała naprzeciw z głową ku piersiom spuszczoną. Obok niej stawali synowie, córki. płaczki, zawodząc pieśni żałosne:

»Odszedłeś od nas — wołali, — osierociłeś nas, panie; poszedłeś do ojców twoich, do duchów jasnych. Wszystkoś miał, czego dusza zapragnie: ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża, pasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały, miłość miałeś u ludzi, i żonę miałeś, i dzieci posłuszne, i czeladź pokorną i rącze konie! Rzuciłeś wszystko i nigdy nie wrócisz! Patrz na sieroty — włosy rwą z głowy; słyszysz ich jęki, otwórz powieki«.

Tak noc całą śpiewały dzieci i płaczki przy trupie, i rwały sobie włosy i łzy wylewały, a z pieśnią ich żałosną mieszały się jęki matki i wycia psów, które słysząc te szlochania i skargi, wtórowały im.

Na kominie paliło się łuczywo, niezbyt jasno oświecając izbę; od lasu dochodził łoskot siekiery — tam parobcy stos dla umarłego gotowali.

Nazajutrz skoro świt, schodzić się poczynała rodzina, znajomi i sąsiedzi, — izba i dziedziniec często gości pomieścić nie mogły, tyle ich nieraz napłynęło. Płacze i skargi wzmagały się po przybyciu przyjaciół, którzy wtórowali dzieciom.

Gdy parobcy dali znać, że stos gotowy, synowie kładli na nosze zmarłego i nieśli go do lasu; za nimi córki wiodły jęczącą matkę pod ręce, potem służba prowadziła ulubionego konia i psy zmarłego, następnie krewni, sąsiedzi cisnęli się, gęślarze i płaczki, za nimi służba z popielnicami, z misami pełnymi mięsiwa, ze dzbanami piwa lub miodu.

Szli jęcząc, zawodząc, przez pola leciały żałosne słowa pieśni, tęskne dźwięki gęśli i krzyki płaczek, które trzymały przy oczach małe naczynka gliniane, łzawicami zwane, i łzy w nie zbierały.

D. n.

*) Żalnik — cmentarz.

Rozmaitości.

WYPRAWIANIE SKÓREK KRÓLICZYCH.

Wielu hodowców chowa króliki tylko na mięso, natomiast handlarzom skórki z nich sprzedaje za bezcen. Tymczasem możnaby z niewielkim trudem samemu wyuczyć się wyprawiania skórek i w ten sposób zaopatrzyć się w znakomite futerka na kołnierze, czapki, zarękawki i t. d. Zaraz po zdjęciu skórki usuwa się słuchy i ogon, rozcinając wzdłuż środkowej linji brzusznej, rozciąga i posypuje sproszkowanym ałunem. Następnie należy ją zwinąć i pozostawić przez 24 godziny w naczyniu szczelnie zakrytym. Po tem rozwija się skórkę, rozpina gwoździami na deszczułce i z jej strony wewnętrznej usuwa się szerokim ostrzem noża części mięsne i tłuszczowe, które pod wpływem bajcowania w ałunie, z łatwością schodzą. Po dokładnym oczyszczeniu pierze się całą skórkę dokładnie mydłem [nie używać szarego mydła, gdyż to niszczy połysk włosów], spłukuje wodą, wykręca jednak nie do zupełnego osuszenia, następnie napina silnie na desce stroną mięsną do góry za pomocą gwoździ blizko siebie wzdłuż brzegów skórki wbitych, przyczym nadaje się kształt, jaki zachowa stale po zupełnym wyschnięciu. Następnie posypuje się skórkę po tej stronie mieszaniną ałunu i soli kuchennej w stosunku 1:2, naciera nią kilkakrotnie i pilnie w każdym miejscu, poczym pozostawia do zupełnego wyschnięcia, co łatwo poznać po białym kolorze skórki. Wtedy uwalnia się ją z deski, wyjmując ostrożnie gwoździe, wytrzepuje należycie, czesze włosy grzebieniem i szczotką. Celem nadania większego połysku, posypuje się włosy gorącym piaskiem lub otrębami, które się pozostawia aż do zupełnego wyschnięcia, a następnie czyści się skórkę. Jeśli zgarbowana strona jest nieco twarda, to należy ją posmarować wazeliną dla nadania jej miękkości. Skórki należy wyprawić ze zwierząt bitych w zimie, gdyż z letnich skórek włos łatwo wypada. Koszty wyprawienia są niewielkie.

CIEPŁE WDOWY.

Wdowa po zmarłym niedawno miljonerze amerykańskim Harrimanie z domu Weightman, stała się najbogatszą kobietą nietylko w Ameryce, ale w całym świecie. Przedtem bowiem ojciec jej umierając, zapisał jej cały swój majątek, wynoszący około 80,000.000 dolarów. Zatem obecnie majątek jej obliczają na 180,000.000 dolarów. Inne wdowy po bogaczach, którym mężowie zapisali całe majątki są: pani Russel Sage posiada fortunę wynoszącą 64,000.000 dolarów, pani W. B. Leads 30,000.000, pani Phoebe Hearst 30 miljonów, pani W. K. Thaw 10 miljonów i pani Morris K. Jesup 10 miljonów. „Małe“ legaty z kolosalnych majątków otrzymały wdowy: pani Cornelius Wanderbilt, której mąż zapisał 2 miljony dolarów i dożywotni dochód 250 tysięcy rocznie z majątku wynoszącego 125 miljonów, pani Marshall Field otrzymała tylko 3 miljony z majątku wartości 300 miljonów, czyli sumę, jaką wniosła mężowi w posagu i pani J. Henry Smith 3 miljony z 30 miljonów majątku. Dodajemy, że 1 dolar równa się 3 milr.

SZKIELET CZŁOWIEKA PRZEDHISTORYCZNEGO.

Z miejscowości Perigneux w departamencie Dordon we Francji donoszą, że pewien nauczyciel znalazł pod skałą w aluwialnej warstwie dobrze zachowany szkielet człowieka przedhistorycznego, którego wiek określają na przeszło 20.000 lat.

TROCHĘ NIŻEJ—TROCHĘ WYŻEJ

(Zabawne zdarzenie)

Za dawnych czasów, kiedy monarchowie nie poznani zwykli się byli przechadzać między swymi poddanymi, aby w ten sposób tym łatwiej módz się przekonać o uczuciach swych poddanych i o ich potrzebach, wydarzył się w Monachjum, stolicy królestwa bawarskiego, następujący wypadek.

Idący razu jednego na ubocznej ścieżce ówczesny król, zauważył żołnierza, obaczył stojącego na warcie, który skoro zobaczył kogo tuż przechodzącego, szybko coś ukrywał pod mundur. Gdy tedy i król się doń zbliżył, przeraził się żołnierz i ukrył coś w zanadrzu. Ale biorąc króla za najzwyczajniejszego „śmiertelnika, nabrawszy otuchy odezwał się:

— Toście mnie dopiero przepłoszyli, bodaj was!

— Tak?—rzekł król—to zapewne nieczyste masz sumienie?

— Ej, tak źle nie jest — odpowiedział żołnierz—ale uważcie tylko, że nie dawno dopiero jestem w Monachjum i nie znam jeszcze nikogo, a powiadają, że król ma zwyczaj często przechadzać się po mieście, jak pospolity człowiek, bez świty królewskiej i nawet w zwyczajnym ubiorze. Otóż właśnie smacznie sobie zajadałem, a wiecie, że żołnierzowi na warcie jeść nie wolno; dla tego też ujrzawszy was, śpiesznie ukryłem swój kęs pod kabat. a teraz będę spokojnie dalej zajadał, bo mam coś bardzo dobrego, a sądzę nikt tak wnet mnie znowu nie nadejdzie.

— O, bądźcie spokojni—odpowie król—ale powiedzcie mi też, cóż tak dobrego macie do jedzenia?

— Wiecie co? zgadnijcie!

— No—rzecze król—może macie kawałek szperki?

— O, szperka wyborna rzecz, ale tak wysoko nie sięgam, zejdźcie trochę niżej.

— Macie może sztukę cielęciny? — zgaduje król.

— A i cielęcina dobra—odpowie szyldwach—ale i tak wysoko się nie czuję, trochę niżej, zgadnijcie.

— Może szynka?—rzekł król.

— A i szynka podoba mi się, ale musicie iść jeszcze niżej.

— O, to z pewnością macie kawał serca—powie król.

— A idźcież sobie z sercem— zaśmiał się szyldwach—to, co mam daleko lepsze, ale niżej..

— No pewnie macie rzodkiew? — rzecze król, śmiejąc się.

— Zgadliście prawie, ale do połowy, bo dwie rzodkwie mam, jednej już nadgryzłem nieco, a druga cała, może wam mogę służyć—a podając ją królowi, rzecze—nie wstydźcie się, ale bierzcie bez wszystkiego.

— O, dziękuję bardzo — odpowie król — jedzcie sobie rzodkiew, ja śpieszę na obiad i nie chcę sobie psuć apetytu. Żegnam was

Zaledwie odszedł parę kroków, zawołał nań szyldwach, resztę rzodkwi dojadając.

— Słuchajcie, no, panie, podobaliście mi się bardzo, powiedzcie też, kto jesteście, abym wiedział, z kim miałem zaszczyt mówić!

— O, rzecze król—kazaliście mi zgadywać, odgadnijcie teraz i wy.

Szyldwach, ukąsiwszy drugiej rzodkwi, spojrzy bystro w oczy królowi, mierzy go od stóp do głowy i rzecze:

— Toście pewnie kancelista, albo inne jakie gryzipiórko.

— Kancelista coś pięknego—rzecze król — ale trochę wyżej sięgajcie.

— A to może pan asesor.

I to dobre, ale trochę wyżej.

— O, to możeście pan konsyljarz [lekarz?]

— I to nie złe, ale trochę wyżej.

— Historja podobać mi się zaczyna— rzecze szyldwach—i bardzo się cieszę, mając honor poznać tak wysoko położonego pana, teraz już odgadnę z pewnością, wyście Ekselencja?

— O, Ekselencja to bardzo pięknie, ale trochę wyżej, trochę wyżej.

— O, toście chyba w końcu królem wyrzeknie szyldwach, wytrzeszczając nań oczy.

— Zgadłeś—odpowie król.

— Jezus Marja, Józef—zawołał przerażony żołnierz—toć prędko na miłość Boga potrzymajcie tę rzodkiew, abym mógł sprezentować broń!.

I to uczynił król. Szyldwach sprezentował broń i obaj z siebie zadowoleni — rozstali się.

JULJUSZ SŁOWACKI.

JAN BIELECKI.

Powieść oparta na podaniu historycznym.

(ciąg dalszy).

Budzi się—gdzież jest? w zamkowej ka-
(plicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara,
Do koła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
—„Tyż to mój luby? Tyż o jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę—rysy twego czoła —“
I zdjął Bielecki turban muślinowy—
Anna spojrzała i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady,
I znów po chwili ciężko przebudzona,
Rzekła: „O luby? tak straszny tak blady!—“
— „Ha blady“ przerwał rycerz z dzikim
[śmiechem
„Wszak zdradzam—“ zamilkł, lecz ostatnie
(słowo
Trzykrotnie głośnym powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał—
Ja zdradzam! Będęż jak róża rozkwitał?
Na mojem czole napisano—zdrada!
Kraj cały we krwi—! Wznieś na księżyc oczy.
Patrz na te okna, na szkle malowidła!
Gdy błyśnie słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica, a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem:
Teraz do lekkiej widm podobnej larwy,
ciemniejszym patrzy i niepewnym licem;
Smutną ma postać, obumarłe barwy!
Inny jest człowiek gdy o szczęściu marzy.
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa? od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O! luba moja, po co te rozmowy?
Luba! chodź ze mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twoim łonie dożyję siwizny,
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy“.
—„Mój ojciec!“—„Ojciec?—Ojciec przeklnie
(ciebie!
I ty się lękasz?—Przeklnie! I cóż znaczy
Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w
(niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje—
Są ludzie—wszyscy przyjaciołmi memi!
Jest wszystko! Luba, czegoż tam nie staje?
Luba! jest wszystko, wszystko! prócz tej zie-
(mi—!“

V.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wy-
[niosły:
Na progu żebrak pacierze powtarza,
W około cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać wielki dzwon kościelny—
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola:
Było to święto, był to dzień niedzielny,
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty.
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca —
Ucichła— —Księdza tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy co o szyby trąca,
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się skończyła.—Oto w nizkie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła —
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój
[drogi
Błysnął z pod płaszcza, i twarz nie wesoła.
Bali się zasiąść w ławki lub nie śmieli,
Bo oba kornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty zło-
[żył,
Teraz zaczyna mówić boskie słowo: —
„O bracia! dzieci! i tegożem dożył,
Ja stary wiekiem z ubieloną głową?
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w Bożem słowie.
Tu niegdyś siadał oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę: Ksiądz prymas w Kra-
[kowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami —
A teraz bracia! dzieci! ja przeklinam—!“
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało Amen—lecz amen żałoby!
Jakże niechętnie! dźwiękiem ledwo żywe!
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Dok. nastąpi.